

# Majorat



E. T. A. HOFFMANN

POWIEŚCI FANTASTYCZNE

# Majorat<sup>1</sup>

TŁUM. JÓZEF PRACKI

Niedaleko od brzegów morza Bałtyckiego — stoi zamek dziedziczny rodziny Her... , który zowią Her... burg. Okolica jest surowa i pustynna. Zaledwie tu i ówdzie na piaszczystym gruncie dostrzeżesz garści trawy. Zamiast tych ogrodów, jakie zazwyczaj zdobią siedziby pańskie, ponad gołym murem widać tylko jakiś nędzny gaj sosnowy, którego żaloba ponura i nieustanna zda się lekceważyć uśmiechniętą szatę wiosny. W tym lasku, zamiast wesołego świergotu ptasząt, słychać tylko monotonne krakanie kruków albo świst mew — zapowiedź burzy.

Zamek

W pewnej odległości przecież natura zupełnie inną tu przybiera postać. Jesteś przeniesiony, niby pod działaniem laski czarnoksiężskiej — pomiędzy kwitnące pola i żyzne doliny. Ujrzysz tu obszerną, bogatą wieś, nad którą góruje wielki dom zarządzającego tym dominium<sup>2</sup>. Na końcu miłego gaju grabowego — znajdują się fundamenty wielkiego pałacu, który zamierzał zbudować jeden z dawniejszych właścicieli tej posiadłości. Jego spadkobiercy, wyjechawszy do swych dóbr w Kurlandii<sup>3</sup>, nie dokończyli budowy tego gmachu, a baron Roderyk von Her... , który powrócił, by się osiedlić w rodzowym gnieździe swych ojców, wołał, przy swoim usposobieniu ponurym i mizantropijnym<sup>4</sup>, mieszkać w starym zamku samotnym, niżli dokończyć tego, który zaczął niegdyś. Rozkazał odrestaurować, o ile to było możliwe, zrujnowaną siedzibę swych przodków i zamknął się w niej wraz z oburkliwym intendentem i małą liczbą służebników. Rzadko jeno pokazywał się we wsi. Natomiast często błdził konno tu i ówdzie brzegiem morza — i jak ludzie powiadali, wydawało się z daleka, że baron rozmawia z morzem, że słucha łoskotu i szumu fał, rzekłbyś — rozumiał się dobrze z tajemniczym duchem morza. Na najwyższej wieży zamku kazał zbudować swą pracownię i umieścił w niej wielką lunetę oraz całkowity zbiór narzędzi astronomicznych.

Codziennie, zwróciwszy oczy ku morzu, obserwował okręty rysujące się na dalekim widnokręgu, niby mewy o białych, rozpostartych skrzydłach. W noc gwiazdziste oddawał się tu, wraz ze swym starym rządcą — pracom astronomicznym albo, jak go podejrzewano — astrologicznym. W ogóle przypuszczali ludzie, że baron Roderyk poświęcał się naukom tajemnym, inaczej mówiąc, czarnej magii — i że skutkiem pewnej nieudanej operacji, która urażała jeden z domów panujących, zmuszony był opuścić Kurlandię. Najłżejsze wspomnienie dni, które przepędził w tej prowincji, budziło w nim uczucie zgrozy i wszystkie nieszczęścia swego życia przypisywał winie przodków, jaką popełnili, opuszczając zamek pradziadowski.

By związać przyszłość rodziny z tym zamkiem, postanowił z niego zrobić majorat. Panujący książę przystał na projekt tej fundacji tym chętniej, że w ten sposób utrwalała się w okolicy familia znakomita, mająca już rozgałęzienia w prowincjach zagranicznych. Jednakowoż ani syn barona, ani posiadacz majoratu, który jak dziad nosił imię Roderyka — nie mogli w zamku pozostać. Obaj mieszkali w Kurlandii. Mając usposobienie

<sup>1</sup>majorat — sposób dziedziczenia własności ziemskiej polegający na przejmowaniu majątku zmarłego przez najstarszego syna lub najbliższego krewnego bądź majątek tak odziedziczony. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>dominium — wielkie posiadłości ziemskie lub leśne. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>Kurlandia — południowa część dawnych Inflant, położona nad Bałtykiem i Zatoką Ryską. Od r. 1918 wchodzi w skład Łotwy. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>mizantropijny — niechętny ludziom, zgorzkniały. [przypis edytorski]

lekkie i wesołe, zda się — niedowierzali tej ponurej siedzibie, obranej przez Roderyka. Ten miał dwie biedne ciotki, stare panny, którym ofiarował w swych dobrach mieszkanie oraz środki egzystencji. Mieszkały one wraz ze staruszką służącą w ciepłym apartamencie bocznego skrzydła zamku, a prócz nich i starego kucharza, który zajmował wielką izbę podziemną w pobliżu kuchni, nie było w obszernych salach budynku nikogo więcej, jedynie tylko żył tam stary gajowy, który zarazem spełniał urząd odźwiernego. Inne osoby ze służby dworskiej mieszkały na wsi, u zarządzającego majątnością.

Na schyłku jesieni, kiedy już pierwsze śniegi zaczynały padać, kiedy nadchodził czas polowania na wilki i dziki — milczący i opuszczony zamek ożywił się na nowo. Przybywał wówczas z Kurlandii baron Roderyk z żoną, z ciżbą<sup>5</sup> krewnych i przyjaciół, na pojazdach stosownych do polowania. Szlachta z okolicy i lubownicy<sup>6</sup> igrzysk myśliwskich z sąsiedniego miasta przybywali jednocześnie — i zamek ledwie mógł pomieścić przybyłych gości. We wszystkich piecach i kominach ogień płonął od rana do wieczora, kucharze pracowali bez wytchnienia, a wesoła gromada panów i służby krążyła po schodach. Tu słychać było brzęk szklanic, śpiewy myśliwskie, tam melodie taneczne, wszędzie hałaśliwe śmiechy i krzyki radości. W ciągu pięciu lub sześciu tygodni zamek stawał się raczej wspaniałą gospodą, leżącą nad ludnym gościńcem, niżli pańską rezydencją.

Baron Roderyk poświęcał, ile możliwości, te parę tygodni sprawom poważnym. Usunąwszy się od wrzawy swych gości, wypełniał obowiązki pana majoratu. Nie tylko kazał sobie zdawać ścisły rachunek ze swych dochodów, ale badał jeszcze każdy projekt udoskonaleń gospodarczych, słuchał najdrobniejszych skarg swoich poddanych — i starał się wszystko uporządkować, wyrównać wszelką krzywdę i niesprawiedliwość. Uczciwie mu w tych wysiłkach pomagał stary adwokat V...., jak niegdyś jego ojciec, plenipotent<sup>7</sup> interesów domu Her...., justycjariusz<sup>8</sup> dóbr, jakie rodzina miała w tej prowincji. Na osiem dni przed przybyciem barona, adwokat zazwyczaj udawał się do zamku.

W r. 179. nadszedł moment, gdy wierny V... miał, podług zwyczaju, udać się do siedziby barona. Miał on wówczas lat 70 i jakkolwiek niemało zachował świeżości i energii, sądził jednak, że byłby mu użyteczny w jego pracy jako młody pomocnik. Pewnego razu rzekł mi ze śmiechem: „Bratanku mój (jestem właściwie jego wnukiem stryjecznym i noszę jego nazwisko), sądzę, że byłoby dobre dla ciebie posłuchać szumu wiatrów morskich i pojechać ze mną do Her... Możesz mi być zresztą bardzo pomocny w trudnych zajęciach, i napisawszy rano jakiś przyjemny akt sprawozdawczy, mógłbyś potem spróbować życia myśliwskiego, ćwiczyć się w sztuce spotykania oko w oko z szarym wilkiem albo głodnym dzikiem i celnym wystrzałem spotkane bydlę położyć”.

Polowanie

Zbyt wiele słyszałem o wrzawnych polowaniach w Her... Byłem zbyt przywiązany do swego szanownego a doskonałego dziada stryjecznego, by nie przyjąć skwapliwie<sup>9</sup> tej propozycji. Wprawny już poniekąd w rodzaj zajęć, jakie stryj prowadził, obiecywałem sobie ułatwić mu swą gorliwością część jego trudów. Nazajutrz, obwinąwszy się w ciężkie futra, toczyliśmy się do zamku Her... wśród zamieci śnieżnej, zapowiadającej zimę.

Po drodze stryj mi opowiadał różne dziwne historie o baronie Roderyku, założycielu majoratu, który pomimo że mój stryj był jeszcze wówczas bardzo młody, wybrał go za swego plenipotentą<sup>10</sup> i wykonawcę testamentu. Mówił mi o surowej i dzikiej naturze barona, którą, zdaje się, ten przekazał w spadku całej rodzinie, a która coraz bardziej budziła się w baronie obecnym, choć ten w pierwszych latach zapowiadał się jako charakter łagodny i słaby. Mówił mi, że powinienem się pokazać człowiekiem stanowczym i śmiałym, aby znaczenia nabrać w oczach pana. W końcu opisał mi mieszkanie, jakie sobie raz na zawsze wybrał w zamku: ciepłe, wygodne i tak oddalone od innych, że możemy do woli usunąć się całkowicie od wrzawy towarzystwa. Mieszkanie składało się z dwóch małych izb, pokrytych gustownym obiciem, pomieszczonych w pobliżu sali sądowej, naprzeciw mieszkania dwóch starych panien.

<sup>5</sup>ciżba — banda, tłum, gromada. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>lubownik (daw.) — miłośnik. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>plenipotent — osoba upoważniona do działania w czyimś imieniu; pełnomocnik. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>justycjariusz — w dawnej Polsce — urzędnik sądowo-policyjny. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>skwapliwie — chętnie i szybko. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>plenipotent — osoba upoważniona do działania w czyimś imieniu; pełnomocnik. [przypis edytorski]

Po szybkiej, choć uciążliwej podróży, ciemną nocą przybyliśmy do Her... Przejedźdźmy wieś. Była niedziela. Dom zarządzającego jaśniał oświetlony od góry do dołu, słychać było melodię walca, dźwięki wesołych pieśni — a ten widok i te śpiewy sprawiły, że jeszcze smutniejszy i pustszy wydawał się nam budynek, w którym mieliśmy się zatrzymać.

Wiatr morski jęczał ponuro i głucho — a smutne sosny, zbudzone ze swej drzemki, odpowiadały mu żalną skargą. Ponad otchłanią śniegu — unosiły się nagie, czarne ściany zamku. Wrota były zamknięte. Krzyk, trzaskanie z bicia, uderzenia młotka — nic nam nie mogło tych drzwi otworzyć. Żadnego światła byś nie dojrzał. Można by rzec, że wszystko zamarło.

Stary mój stryj krzyknął głosem surowym i groźnym:

— Franciszku, Franciszku! Gdzie ty jesteś? Do stu diabłów, rusz się. Marzniemy tu na dworze. Śnieg nam twarz ścina. Do pioruna! Czy przychodzisz? Jakiś pies podwórzowy zaczął wyc, ukazało się chwiejne światelko, słyszeć się dało dzwonięcie kluczy — i ciężkie wrota zazgrzytały na rdzawych zawiasach.

— Ach, pozdrowieni bądźcie, pozdrowieni bądźcie, panie plenipotencie. Co za brzydki czas!

Tymi słowy witał nas Franciszek, wysoko podnosząc latarnię, tak że całe jej światło padło mu na pomarszczoną twarz, jeszcze wykrzywioną w tej chwili w sposób szczególnie życzliwym uśmiechem. Powóz wjechał na dziedziniec, zesłiśmy na ziemię — i wtedy mogłem widzieć jako całość osobliwą starego sługę, przybranego w odwieczną liberię<sup>11</sup> dworską z galonami<sup>12</sup>. Na szerokie, blade czoło opadały mu dwa loki siwych włosów, dolna część twarzy miała silne kolory, właściwe myśliwcom, i pomimo wydatnych mięśni, które jego fizjonomii nadawały pozór szczególnej maski, w jego oczach i w kroju ust był wyraz poczciwości nieco mazgajowatej.

— A zatem, mój stary Franciszku — rzekł stryj, strząsając w przedpokoju śnieg ze swego futra — czy wszystko gotowe? Dywany w moim pokoju wytrzepane? Łóżka przygotowane? Palono w piecu ogień wczoraj i dzisiaj?

— Nie — odparł Franciszek bardzo spokojnie. — Nie, panie sędzio, nic z tego nie przygotowano.

— Ależ, na miły Bóg — zawołał stryj. — Toć pisałem dość w czas<sup>13</sup>, przybywam ściśle w dniu oznaczonym. Co za niedbalstwo! Izby moje są pewnie zimne jak lodownie.

— Pewno, panie sędzio — odparł Franciszek, obrywając starannie szczypcami ogarek, na knocie świeczki i deptając go nogami. — Widzi pan, po co to mielibyśmy zapalać ogień? Wiatr i śnieg przenikają do tych izb przez potłuczone szyby i...

— Jak to? — zawołał stryj, przerywając Franciszkowi i odrzuciwszy poły<sup>14</sup> swego płaszcza, skrzyżował ramiona. Jak to? Szyby potłuczone, i ty, strażnik domu, nie wprawiłeś ich na nowo?

— Nie, panie sędzio — odrzekł stary sługa z tym samym spokojem. — Nielatwo wejść do waszego mieszkania z powodu masy kamieni i cegieł, co je zapełnia.

— Do stu diabłów! Skądże w moim mieszkaniu kamienie i cegła?

— Spełnienia życzeń, młody paniczu! — rzekł teraz Franciszek do mnie z grzecznym ukłonem, w chwili, gdym kichnął.

Po czym dodał: — Te kamienie i tynki pochodzą z muru, który tu runął podczas wielkiego rozwalenia się domu.

— Czy mieliście tu trzęsienie ziemi? — zawołał stryj gwałtownie.

— Nie, panie sędzio — odparł z uśmiechniętą twarzą Franciszek. — Ale trzy dni temu ciężkie sklepienie sali audiencjalnej runęło z wielkim hałasem.

— Co za piekło! — Stryj, człowiek prędki i gwałtowny z natury, już chciał zakląć potężnie, ale podnosząc prawą rękę do góry, a lewą zdejmując z głowy swą czapkę z lisiego futra, zatrzymał się — i zwrócił się do mnie z żywym wybuchem śmiechu:

<sup>11</sup>liberia — rodzaj ubioru, uniformy, noszonego przez służbę. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>galon — tu : tkana lub pleciona taśma wykonana całkowicie lub z dodatkiem metalowych nitki, przymocowana do ubrania. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>dość w czas (daw.) — wystarczająco wcześnie. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>poła — dolna część jednej połowy ubioru rozpinającego się z przodu, takiego jak marynarka czy frak. [przypis edytorski]

Sluga

Sluga

— Prawdziwie, mój bratanku, nie należy o nic pytać, gdyż dowiemy się jeszcze, że cały zamek zapadł się pod ziemię.

— A czemuż — dodał, zwracając się do Franciszka — nie przyszło wam do głowy oczyścić i ogrzać inny pokój? Czyż nie mogliście przygotować naprędce sali audiencjalnej w głównym budynku?

— Tak właśnie zrobiliśmy — rzekł stary Franciszek, ukazując schody z miną zadowoloną i powoli wchodził na stopnie.

— Patrzcież tego dziwaka! — rzekł stryj, idąc za nim. Ruszyliśmy poprzez długie, sklepione korytarze, których mrok w tajemniczy sposób oświetlała latarnia w rękach Franciszka. Kolumny, kapitele<sup>15</sup>, arkady zdawały się w naszych oczach krążyć po powietrzu. Obok nas sunęły olbrzymie cienie, snując się wzdłuż murów po szczególnych portretach, które zdawały się poruszać, drgać, migotać. Tajemnicze głosy — rzekłbyś — szemrały w odgłosie naszych kroków: „Nie budźcie nas, nie budźcie nas! Nas, co tu śpimy snem zaklętym, zawieszeni na tych starych kamieniach”. W końcu, przeprowadziwszy nas przez długi szereg izb ciemnych i zimnych, Franciszek otworzył nam salę, w której żywy ogień kominka powitał nas, iskrząc się wesoło. Czulem się doskonale z chwilą, gdyśmy weszli do tego pokoju. Co do stryja, ten zatrzymał się pośrodku sali, obejrzał ją dokoła i głosem poważnym, niemal uroczystym, rzekł:

— Tu będzie izba sądowa.

Franciszek, podnosząc światło tak, żeśmy na ścianie zobaczyli plamę szeroką jak drzwi, odpowiedział żałośnie:

— Tu już był sąd!

— Cóż to ci przychodzi do głowy? — rzekł stryj, zdejmując futro i przybliżając się do komina.

— Tak mi się przypomina — odparł Franciszek. Zapalił świece i otworzył salę sąsiednią, która była przygotowana dla nas. Po chwili stół obficie nakryty stał przy kominku. Stary sługa przyniósł dobrze przyrządzone potrawy, rzecz nader miła dla stryja i dla mnie, oraz wielką wazę ponczu<sup>16</sup>, przyrządzoną na sposób północny. Znużony podróżą, stryj mój udał się do swej sypialni natychmiast po wieczery. Nowość i osobliwość tej wyprawy, smak ponczu — cały szereg wrażeń zbyt silnie oddziaływały na mnie, abym mógł pomyśleć o spaniu. Franciszek zabrał stół, podsycał ogień i pożegnał mnie przyjaznym ukłonem.

Siedziałem sam w wysokiej, obszernej sali rycerskiej. Śnieżycą ustała, wicher ucichł, niebo się wypogodziło i jasny księżyc w pełni spłynął przez duże, okrągłe okno, magicznym pokrywając blaskiem wszystkie ciemne tego osobliwego gmachu zaułki, których skąpe światło świecy i komina dosięgnąć nie mogło. Jak się to jeszcze trafia w starożytnych zamkach, ściany i sufit sali ozdobione były w szczególny sposób: pierwsze pokryte ciężkimi drewnianymi taflami, drugie zaś fantastycznymi obrazami i snycerską robotą<sup>17</sup> połączaną lub na szaro pomalowaną. Z wielkich obrazów, po większej części przedstawiających dzikie sceny polowania na niedźwiedzie i wilki, wyskakiwały rżnięte z drzewa głowy ludzi i zwierząt, przyprawione do malowanego ciała tak, iż zwłaszcza przy migotliwym i drżącym blasku od ognia i księżycą całość straszliwą ożywiła się prawdą. Między tymi obrazami były wizerunki naturalnej wielkości, postacie w myśliwskim stroju kroczących rycerzy, zapewne przodków pana domu. Malowidła i rzeźby, szarawą pokryte farbą, wyraźnie nosiły piętno swej długowieczności, tym bardziej więc raziło jaśniejsze i puste miejsce na ścianie, w której było dwoje drzwi prowadzących do przyległych komnat. Przekonałem się zaraz, że i tam drzwi być musiały, które później zamurowane zostały i dlatego właśnie nowy mur tak się różnił od innych ścian dawniej pomalowanych i rzeźbą ozdobionych.

Któż tego nie wie, jak pobyt w miejscach niezwykłych zdolny jest tajemniczą siłą opanować naszego ducha, jak najleniwsza nawet wyobraźnia budzi się wśród tej doliny otoczonej dziwnymi skałami lub w ponurych murach kościoła i przeczuwa rzeczy nigdy wprzód niewidziane? Dodać jeszcze muszę, że miałem lat dwadzieścia i wypilem kilka szklanek mocnego ponczu, a łatwo pojąć, jak dziwnie mi się zrobiło na sercu w owej sali

<sup>15</sup>kapitele — górna część kolumny, bezpośrednio wspierająca łuk lub sklepienie. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>poncz — gorący napój alkoholowy na bazie herbaty i rumu. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>snycerska robota — rzeźby w drewnie. [przypis edytorski]

rycerskiej. Wyobraźmy sobie ciszę nocy, wśród której słychać tylko szum morza i osobliwsze świsty nocnego wiatru, niby tony potężnych organów poruszanych ręką duchów, przelatujące chmury, niby jasne, świecące olbrzymy zdawały się ciekawie zaglądać przez drżące szyby sklepionych okien. W samej rzeczy, z przestachu, który mną wstrząsał, przeczuwałem, że teraz rozpoczynają się widocznie obce rządy. Uczucie to podobne było do zimnego dreszczu, jakiego z przyjemnością doznajemy, gdy nam kto opowiada żywo i obrazowo jaką powieść o strachach. Nadto przyszło mi na myśl, że nigdy w lepszym usposobieniu nie można czytać książki, którą wówczas, jak każdy hołdujący romantyzmowi, miałem w kieszeni. Był to Schillera<sup>18</sup> „Duchowidz” (*Geisterseher*)<sup>19</sup>. Czytałem i czytałem, i coraz bardziej rozpalala się moja wyobraźnia. Stałem na precudnym opisie ślubnych godów u hrabiego B. i właśnie ukazała się krwawa postać Hieronima..., gdy — ze strasznym łoskotem rozwarły się drzwi prowadzące do przedsionka. Przerazony skoczyłem do góry, książka mi z rąk wypadła, ale w tej chwili wszystko ucichło i zawstydziłem się mojego dziecinnego strachu. Być może, iż przeciągiem powietrza lub innym jakim sposobem drzwi się otworzyły, a podrażniona moja fantazja w naturalnym wypadku dopatrzyła czegoś strasznego.

Uspokoiwszy się, podnoszę książkę z ziemi i rzucam się znowu w poręczowe krzesło. Wtem... idzie coś z cicha, z wolna, mierzonym krokiem, idzie w poprzek sali, a idąc wzdycha i jęczy. W tych westchnieniach i jękach wyrażało się najgłębsze ludzkie cierpienie, boleść niepokieszona. — Ha, pomyślałem, to zapewne jakie biedne, chore stworzenie, zamknięte gdzieś na dole, a w nocy, wiadomo, jakie powstają złudzenia akustyczne, gdy najodleglejszy szmer zwiększa się i zdaje się bliskim. Któż by się takimi rzeczami trwożył! Tak, uspokajam się na nowo, ale teraz... coś drapie się o nowy ten mur, wydając coraz głośniejsze i boleśniejsze jęki, które tylko w strasnej chwili konania słyszeć można. — Tak, to jakieś biedne, zamknięte zwierzę... Stuknę tylko mocno w podłogę i wszystko umilknie albo też zwierz z dołu wyraźniej, w naturalnym swym głosie da się słyszeć! Tak myślałem, ale krew zakrzepła mi w żyłach, zimny pot oblał mi czoło. Zdrętwiały siedziałem w fotelu, nie mogąc ani wstać, ani wydać głosu. Straszliwe drapanie ustało, kroki na nowo słyszeć się dały. Wtedy oprzytomniałem, życie wstąpiło we mnie. Podniosłem się szybko i parę kroków postąpiłem przed siebie, lecz lodowy ciąg powietrza przeszedł po sali i w tej samej chwili jasne światło księżycy padło na wizerunek jakiegoś poważnego, strasznie znakomitego męża, a z ust jego słyszałem wyraźnie, wśród odgłosu fal morskich i poświstów wichru północnego głos ostrzegający: — Ani kroku dalej, jeśli nie chcesz popaść w straszną otchłań świata duchów! Znów się drzwi z tym samym co wprzód łoskotem rozwarły i zdało mi się, że słyszę kroki w przedsionku. Ktoś schodził na dół. Główne drzwi zamkowe zaskrzypiały straszliwie i znów się zamknęły. Potem zdało mi się, jak gdyby ktoś konia wyprowadził ze stajni i po jakimś czasie znów go do stajni odprowadził... Potem wszystko ucichło. W tej chwili posłyszałem, jak mój dziadek stryjeczny wzdychał i jęczał w przyległym pokoju, to mi przywróciło przytomność, wzięłem świecę i poszedłem do niego. Staruszkowi widocznie śniło się coś strasznego. — Zbudźcie się, zbudźcie, zawołałem głośno, ścisnąwszy go za rękę i skierowawszy światło na twarz. Dziadek podniósł się z głuchym jękiem, spojrzął na mnie życzliwie i rzekł:

— Dobrze zrobiłeś, kuzynku, żeś mnie obudził. Ej, szkaradny miałem sen, a temu winne te pokoje i sala, bo musiałem zamyślić się o czasie upłynionym i o tym, co się tu działo. Ale teraz możemy już spać na dobre. Potem okrył się kołdrą i zdało się, że zasnął. Kiedy świecę zgasilem i udałem się do łóżka, usłyszałem, że stary modlił się po cichu.

Nazajutrz wzięliśmy się do roboty. Rządca przyszedł z rachunkami, ludzie zgłaszali się z prośbą o załatwienie sporu lub innego jakiego interesu. W południe udał się ze mną dziadek do bocznego pawilonu, aby starym baronównom z wszelką atencją<sup>20</sup> złożyć uszanowanie. Franciszek nas zameldował, aleśmy dobrze wyczekać musieli, zanim wprowadziła nas do samego przybytku jakaś sześćdziesięcioletnia, zgarbiona, w pstre jedwabie wystrojona mateczka, która się przedstawiła jako nadworna panna ich wielmożności. Stare damy, przybrane w suknie zeszlowiecznej mody, przyjęły nas z komicznym cere-

Duch

Młodość

<sup>18</sup>Johann Christoph Friedrich von Schiller (1759–1805) — niemiecki poeta i filozof okresu romantyzmu, autor m. in. *Ody do radości*. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>„Duchowidz” (*Geisterseher*) — tytuł polskiego tłumaczenia brzmi *Spirytualista*. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>atencja — szacunek, respekt, poważanie. [przypis edytorski]

moniałem. Byłem dla nich przedmiotem wielkiego podziwienia, gdy dziadek z żartobliwą powagą przedstawił mnie jako młodego, pomagającego mu prawnika. Po ich minie widziałem, iż uważały dobro poddanych majoratu narażone na pewne niebezpieczeństwo z powodu mej młodości. Całe przyjęcie u starych dam było tak komiczne, iż nieco ochłodłem z przestachu minionej nocy, czułem jednak w duszy, jakby mnie opanowała nieznana siła albo raczej, jakbym dotknął koła, w którym dość kroku postąpić, aby bez ratunku być zgubionym. I trzeba było mi wezwać na pomoc wszystkie siły wewnętrzne, aby się oprzeć grozie, po której chyba nieuleczalna wariacja następuje. To też nawet stare baronówny ze swymi dziwaczными, wysoko napiętrzonymi fryzurami, ze swymi cudackimi sukniami, przystrojonymi w pióra i kolorowe wstęgi, nie wydały mi się śmiesznymi, ale raczej posępnymi i straszными. W ich starych, poźółkłych twarzach, w ich zmrużonych oczach chciałem wyczytać, w ich niegodziwej francuszczyźnie chciałem usłyszeć, jakim sposobem pogodziły się z niemilymi, w zamku straszącymi istotami, a nawet potrafiły pozbyć się obawy i strachu. Dziadek, w wesołym będąc usposobieniu, swoją ironią wplątał je w tak niedorzeczną gadaninę, iż w innym humorze nie potrafiłbym się wstrzymać od głośnego śmiechu, ale jak powiedziałem, baronówny, pomimo swego paplania pozostały dla mnie straszonym widziadłem. Dziadek, co myślał, że mi sprawi przyjemność, spojrział na mnie wielce zdziwiony. Dlatego po obiedzie, gdyśmy zostali sami w swoim pokoju, nie mógł dłużej milczeć i zawołał:

— Ależ kuzynku, na miłość Boga, co ci jest? Nie śmiejesz się, nie mówisz, nie pijesz. Czyś chory, czy ci brakuje czego?

Teraz nic już nie tailem, ale mu dokładnie opowiedziałem cały przestach przeszłej nocy. Niczego nie zamilczałem, szczególnie też, że wypilem wiele ponczu i czytałem „Duchowidza” Schillerowskiego. Dodałem jeszcze: — Przyznaję, że najprawdopodobniej podrażniona i wybudząca wyobraźnia moja potworzyła wszystkie te zjawiska, które tylko w moim mózgu istniały. Spodziewałem się, że stryjeczny dziadek nielitościwie mnie wyśmieje za to widzenie duchów, tymczasem był bardzo poważny, wlepił oczy w podłogę, a potem szybko podniósłszy głowę, rzekł:

— Nie znam twej książki, kuzynku, ale to pewna, że owego zjawienia duchów nie zawdzięczasz ani swej wyobraźni, ani działaniu ponczu. Wiedz, że to samo widziałem we śnie, czegoś ty doświadczył na jawie. Siedziałem sobie tak samo, jak i ty, w fotelu przy kominie, tak mi się jakoś zwidziało, ale co tobie objawiło się w odgłosach, ja to oglądałem okiem wewnętrznym, pojmując to doskonale. Tak, ujrzałem straszego upióra, jak wszedł i bezsilny przycołgał się do zamurowanych drzwi, jak w rozpacz drapał się na mur, tak że krew tryskała mu z palców, jak zstąpił na dół, wyprowadził konia ze stajni i na powrót go odprowadził. Czyś słyszał, jak zapiał kogut w odległej chałupie? Wtedyś mnie obudził i wkrótce uspokoiłem się po tym diabelskim dziele niegodziwego człowieka, który zdola zamącić spokojne życie.

Stary umilkł; nie chciałem stawiać dalszych pytań, pewny będąc, że mi wszystko wyjaśni, jeśli to uzna za właściwe. Jakoż po niejkiej chwili, nadumawszy się długo, mówił dalej:

— Teraz kiedy wiesz, co się tu święci, będziesz miał odwagę dotrzymać placu tym strachom, ale razem ze mną?

— Naturalnie — oświadczyłem — iż jestem gotów.

— W takim razie — mówił staruszek dalej — na przyszlą noc będziemy czuwali. Wewnętrzny głos mi mówi, że nieczysta siła ustąpić musi, nie tak przed moją władzą duchową, jak raczej przed odwagą, polegającą na głębokim przekonaniu, że to nie jest z mej strony żaden zuchwały postępek, ale czyn śmiały i pobożny, gdy życie i ciało narażam na to, aby odpędzić potępieńca, który synów oddala od siedziby przodków. A więc nie ma co mówić o niebezpieczeństwie, ponieważ w tak silnym i zacnym przedsięwzięciu, w tak pobożnej wierze, jaką jestem przejęty, można być tylko zwycięskim bohaterem. Z tym wszystkim, niech się dzieje wola Boża i gdyby nieczysta siła pokonać mnie zdołała, to winieś kuzynku oznajmić, że poległ w świętej, chrześcijańskiej walce z duchem piekielnym, który tu swoje harce wyprawia. Ty zaś trzymaj się z dala. Tobie się nic nie stanie.

Wśród różnych drobnych zajęć nadszedł wieczór. Franciszek, jak w dniu wczorajszym, zastawił wieczerzę i przyniósł nam ponczu. Księżyc w pełni przyświecał pośród jasnych

Sen, Upiór

Duch, Odwaga, Wiara

obłoków, morskie fale szumiały, a wiatr północny wyl i potrząsał trzeszczącymi szybami w oknach. Pomimo wewnętrznego wzruszenia przymuszaliśmy się do obojętnej rozmowy. Stary położył swój zegarek na stole. Wybiła na nim dwunasta godzina. Nagle z wielkim łoskotem drzwi się otworzyły i jak wczoraj, coś wolnym i cichym krokiem sunęło przez salę, wydając głośnie jęki i westchnienia. Staruszek pobladł, ale jego oczy błyszczwały niezwykłym ogniem, podniósł się z fotelu i jak był wysokiego wzrostu, wyprostował się cały, a wsparł się lewą ręką, prawą wysunął ku środkowi sali i tu się zatrzymał. Wyglądał jak wódz dający rozkazy. Coraz głośniejsze dały się słyszeć westchnienia i jęki, i straszniej jak wczoraj zaczęło drapać się po ścianie. Wtedy stary postąpił naprzód krokiem silnym, że aż drżała podłoga i zmierzał wprost ku zamurowanym drzwiom. Stał tuż w miejscu, gdzie coraz wścieklej drapało i zawołał podniesionym, uroczystym głosem, jakiego nigdy dawniej u niego nie słyszałem:

— Danielu, Danielu! Co tu robisz o tej godzinie?

Wtedy zadrapało jeszcze straszniej i okropniej, i dało się słyszeć głuche uderzenie, jakby coś upadło na ziemię.

— Szukaj łaski i przebaczenia przed tronem Najwyższego, tam jest twoje miejsce. Wynos się ze świata, do którego już nigdy należyć nie możesz!

Tak mówił stary z większą niż pierwiej mocą. I stało się. Jakby powietrzem przeciągnął płacz stłumiony i zmieszał się z odgłosem burzy, która właśnie srożyć się zaczęła. Wtedy starzec postąpił ku drzwiom i zatrzasnął je tak silnie, że aż się rozległo w pustym przedsionku. W jego głosie, ruchach i postawie było coś nadludzkiego, co mnie głęboką bojaźnią przejęło. Kiedy usiadł w fotelu, wzrok miał osobliwie rozjaśniony, złożył ręce i modlił się po cichu. Za ledwie kilka minut upłynęło, zapytał mnie głosem tkliwym, za serce chwytającym, który jemu tak był właściwy:

— No i cóż, kuzynku?!

Przestrachem, grozą, trwogą i świeżą bojaźnią przejęty, padłem na kolana i gorącymi zrosiłem łzami podaną mi rękę. Starzec objął mnie w ramiona i przyciskając do serca, czułym rzekł głosem:

— No, teraz możemy spać swobodnie, kochany kuzynku!

Tak się też stało i gdy następnych nocy nie wydarzyło się nam nic nieprzyjemnego, odzyskaliśmy dawną wesołość, tylko stare baronówny na tym straciły, bo zawsze pozostały trochę straszonymi ze swoim dziwacznym charakterem. Były to wszakże rozweselające straszdyła, które stary umiał rozruszać w najkomiczniejszy sposób.

Na koniec, w kilka dni później, przybył baron z małżonką i licznym orszakiem myśliwych. Zjechali się zaproszeni goście i w nagle ożywionym zamku rozpoczęła się dzika wrzawa, jak wyżej było opisane. Gdy baron, zaraz po swoim przybyciu, wszedł do naszej sali, zdziwił się mocno z powodu zmienionego naszego mieszkania, rzucił posępne spojrzenie na drzwi zamurowane i szybko się odwracając, powiódł ręką po czole, jakby stamtąd chciał odegnąć niemiłe wspomnienie. Dziadek mówił o spustoszeniu sali sądowej i zawalonych pokojach. Baron zganiał Franciszka, że nas lepiej nie pomieścił i prosił starego bardzo uprzejmie, aby tylko rozkazał, jeśli mu w nowym mieszkaniu, które daleko jest gorsze, zbywa w czymkolwiek na wygodach, do jakich dawniej przywykł. W ogóle postępowanie barona z dziadkiem było nie tylko serdeczne, ale połączone z pewnym uszanowaniem synowskim, jak gdyby baron zostawał ze starym w pewnym stosunku pokrewieństwa. Była to jedyna rzecz, która pod pewnym względem godziła mnie z szorstkim i rozkazującym charakterem barona, a który z każdym dniem coraz więcej się uwydatniał. Na mnie albo nic, albo bardzo mało pan baron zważał. Widział we mnie zwyczajnego tylko pisarza<sup>21</sup>. Zaraz w początkach, gdy się zajął jakąś sprawą, chciał znaleźć niedokładność co do formy. Krew uderzała mi do głowy, już miałem się ostro odciąć, gdy dziadek się odezwał, upewniając, że ja właśnie wszystko według jego wskazania robię i że ono tylko może mieć prawne znaczenie. Gdyśmy sami zostali, gorzko się uskarżałem na barona, że coraz więcej jest mi nieprzychylny.

— Wier mi, kuzynku — odrzekł starzec — że baron, mimo swego szorstkiego usposobienia, jest najlepszym i najzaciejszym człowiekiem na świecie. I tego usposobienia, jak ci już mówiłem, nabył dopiero od czasu, gdy został posiadaczem majoratu, wprzód

Szlachcic

Miłość

<sup>21</sup> *pisarza* — tu: notariusz bądź kopista, osoba przepisująca dokumenty. [przypis edytorski]



zaś był łagodnym i skromnym młodzieńcem. Zresztą co do niego, to wielce przesadzasz, a chciałbym wiedzieć, dlaczego ci się wydaje tak nieprzyjemnym?

Mówiąc te słowo stary uśmiechał się szyderczo. Krew jak ukrop gorąca na twarz mi wybiła. Musiałem niezbyt jasno czytać we własnym sercu, skoro nie poznałem, że owa dziwna nienawiść zrodziła się z miłości albo raczej z ukochania istoty, która wydała mi się najmiłszą i najwspanialszą, jaka kiedykolwiek ukazała się na ziemi. Tą istotą był nie kto inny, tylko sama baronowa. Gdy tylko przyjechała i szła przez pokoje w sobolowym futrze<sup>22</sup>, które dokładnie odznaczało jej cudne kształty, mając głowę zakrytą bogatą zasłoną, zjawieniem swoim wywarła na mnie urok potężny, niczym nieprzeparty. Do tego przyczyniła się i ta okoliczność, że stare ciotki w sukniach i fontaziach<sup>23</sup> bardziej cudacznych niż dotąd, widziałem, dreptały koło niej z obydwu stron, szczebiocząc swoje powitania francuskie, gdy ona, baronowa, z nieopisanym wdziękiem wkoło siebie spoglądała, kłaniając się mile już temu, już owemu. A gdy jeszcze wkrótce przemówiła czystym dialektem niemieckim, to wszystko razem utworzyło tak odmienny obraz, iż fantazja mimowolnie stawiała obok niego straszne widziadło nocne. Wtedy baronowa wydała mi się prawdziwym aniołem światła, przed którym ustępują siły piekielne. Cudnie piękna ta kobieta bardzo silnie uczyniła na mnie wrażenie. Mogła mieć wówczas najwyżej lat dziewiętnaście. Niewielkiego wzrostu, prześlicznej twarzy, w której odbijała się dobroć anielska. Szczególniej też był urok nieopisany w spojrzeniu jej ciemnych oczu. Jak błady promień księżycy przemykała w nich rzewna tęsknota, a w miłym uśmiechu całe niebo marzeń i zachwytu. Można by sądzić, że jakiś ciężki smutek wtedy jej dolega, chociaż mnie się wydało, że to tylko bolesne przeczucie nieszczęśliwej przyszłości. Nie mogąc sobie wytłumaczyć tego jej usposobienia, w dziwny sposób powiązałem go z nocnym widziadłem, ukazującym się w zamku.

Kobieta

Nazajutrz po przybyciu barona zebrano się towarzystwo na śniadanie. Dziadek przedstawił mnie baronowej i jak się zwykle dzieje w podobnych razach, byłem pomieszany, dawałem najniedorzeczniejsze odpowiedzi na proste pytania uprzejmej gospodyni domu, jak mi się podoba w zamku itp., tak dalece, że stare ciotki przypisując moje zakłopotanie jedynie głębokiemu uszanowaniu, jakim byłem przejęty dla pani zamku, łaskawie ujęły się za mną, wychwalając mnie po francusku, jako grzecznego i milego młodzieńca, *un joli garçon*<sup>24</sup>. To mnie tak obeszło, iż oprzytomniałem i popisałem się konceptem, powiedzianym w daleko poprawniejszej francuszczyźnie, niż parlowanie<sup>25</sup> starych dam. Spojrzały też na mnie zdziwione i skryły swoje spiczaste nosy w tabakierkach<sup>26</sup>. Z pierwszego wejścia, jakie baronowa rzuciła na mnie, zwracając się do innej damy, poznałem, że musiał powiedzieć jakieś wielkie głupstwo. To mnie jeszcze bardziej rozdrażniło, dlatego życzyłem starym damom, aby się gdzie w piekło zapadły.

Pasterskie<sup>27</sup> wzdychania i romansowe cierpienia od dawna już dziadek wybił mi z głowy, wyśmiewając je jako dziecinne niedorzeczności. Teraz jednak uczulem, że baronowa głębiej i silniej mój umysł i serce zajęła, niż jaka bądź inna kobieta. Patrzyłem na nią tylko i jej tylko głos słyszałem, chociaż czulem dobrze, iż sama myśl o jakim romansie byłaby niedarowanym szaleństwem, a niepodobna<sup>28</sup> było wielbić i podziwiać z daleka, jak zakochany młodzieniaszek, którego bym sam musiał się wstydzić. Zbliżyć się do tej ślicznej kobiety, nie dając jej poznać mych uczuć, pić słodką truciznę jej spojrzenia i słów. Potem z dala od niej długo, a może na zawsze mieć ją w sercu. To mogłem, to mi wolno było uczynić. Gdy ta romantyczna, prawdziwie rycerska miłość rozmarzyła mnie w nocy bezsennej, byłem do tego stopnia dziecinny, że sam do siebie mówić zacząłem, a wreszcie wzdychać żalostnie:

Miłość niespełniona

— Ach, Serafino! Serafino!

Dziadek zbudził się i odezwał do mnie:

<sup>22</sup>*sobolowe futro* — drogie futro wykonane z sobola, drapieżnego ssaka z rodziny łasicowatych . [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*fontaż* — ozdoba fryzury kobiecej z koronek i wstążek upiętych wysoko nad czołem. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*un joli garçon* (fr.) — ładny chłopiec. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*parlowanie* — z ft. *parler*: mówić (po francusku). [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*tabakierka* — pojemnik do przechowywania tabaki. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*pasterskie* — tu: sielankowe. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>*niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

— Kuzynku, kuzynku, zdaje mi się, że marzysz za głośno! Jeśli ci się podoba, rób to we dnie, ale w nocy pozwól mi spać spokojnie.

Obeszło mnie wielce, że dziadek, który już w czasie samego przyjazdu baronowej zauważył moje wzruszenie, teraz usłyszał jej imię. Spodziewałem się, że obsypie mnie swymi sarkastycznymi żartami, ale ku wielkiemu mojemu zdziwieniu nic więcej nie powiedział, tylko nazajutrz, gdyśmy wchodzili do sali sądowej, rzekł: — Daj Boże każdemu zdrowy rozsądek i staranie, aby go w dobrym trzymał zamknięciu. Bieda to, gdy komu, ni stąd ni zowąd przyjdzie ochota wystrychnąć się na głupca.

Potem zasiadł przy dużym stole i dodał:

— Pisz, kuzynku, pięknie i wyraźnie, abym łatwo mógł czytać twoje pismo.

Uszanowanie, a nawet część głęboka, jaką baron okazywał mojemu stryjecznemu dziadkowi, przebijały się we wszystkim. Dlatego też musiał przy stole zajmować miejsce, którego mu niejeden zazdrościł — miejsce koło baronowej. Mnie zaś los rzucał tu i ówdzie, zwykle jednak dwóch oficerów z pobliskiego miasta brało mnie między siebie, aby mi opowiedzieć wszystkie nowinki i ucieszne miejskie wydarzenia, a przy tym wesoło wysączyć niejeden kieliszek wina. Tym sposobem przez kilka dni z rzędu siedziałem z dala od baronowej, na drugim końcu stołu, przypadek dopiero zbliżył mnie do niej.

Nim dla zebranego towarzystwa otworzono salę jadalną, rozpoczęła ze mną rozmowę i zdaje się, znalazła w niej upodobanie towarzyszka baronowej, osoba młoda, a prócz tego nie bez dowcipu. Stosownie do przyjętego zwyczaju, gdy wyruszono do stołu, wypadało mi podać jej rękę. Niemal się ucieszyłem, gdy zajęła miejsce opodal baronowej, która ją powitała wdzięcznym skłonieniem głowy. Łatwo się można domyśleć, że wszystkie moje słowa skierowane były już nie tylko do mojej towarzyszki, ale głównie do baronowej. Być może, wewnętrzne usposobienie nadawało wszystkiemu, co mówiłem, szczególniejszą podniosłość, bo moja towarzyszka coraz uważniej mnie słuchała, a w końcu dała się pociągnąć w fantastyczny świat złudzeń, który przed nią roztaczałem. Była ona, jak się powiedziało, nie bez dowcipu, toteż nasza rozmowa wkrótce się ożywiła i odłączyła od ogólnej. Goście rozmawiali o tym i o owym, nasza zaś pogadanka żyła na własną rękę i rzucała niekiedy błyskawice tam, gdzie chciałem, aby padały. Zauważyłem, że moja sąsiadka rzuciła na baronową porozumiewawcze spojrzenie i ta raczyła nam się przysłuchiwać. Szczególniej działo się tak, gdy rozmowa skierowała się na muzykę, gdym mówił z zapalem o tej uroczej i świętej sztuce, nie tając bynajmniej, iż pomimo tego, żem się oddał suchemu i nudnemu prawnictwu, nieźle gram na fortepianie, śpiewam, a nawet ułożyłem kilka pieśni.

Gdy wstano od stołu, aby przejść do pobliskich pokojów na likier i kawę, nie wiem sam jakim sposobem stanąłem przed baronową, która rozmawiała z moją sąsiadką. Zaczęła więc mówić i ze mną, ale już tym życzliwym tonem, jakiego się używa z dobrymi znajomymi. Powtórzyła dawniej zadane mi pytanie, jak mi się w zamku podoba itp. Odpowiedziałem, iż samotność miejsca, a nawet sam starożytny zamek w szczególniejszy sposób pierwszych mianowicie dni na mnie oddziaływały, ale i w tych wrażeniach wiele doznałem przyjemności, tak iż teraz życzyłbym sobie tylko, abym się mógł uwolnić od owych dzikich łowów, do których nie jestem przyzwyczajony. Baronowa uśmiechnęła się i rzekła:

— Wyobrażam to sobie, że panu w naszych posępnych lasach sosnowych nie bardzo musi być przyjemnie. Pan jesteś muzykiem i jeśli się nie mylę, jesteś także poetą. Namiętnie lubię obydwie te sztuki. Gram nawet trochę na harfie, bez której teraz w K. muszę się obywać, gdyż mąż mój nie chciał, abym brała z sobą instrument, którego łagodne tony dziwnie by brzmiały wśród dzikiej wrzawy i nieustannego odgłosu rogów myśliwskich, jakie tu tylko słyszeć można. Ach, mój Boże, jakżebym rada<sup>29</sup> posłuchać muzyki.

Zapewniłem ją, że wszelkich dołożę starań, aby to jej życzenie spełnić się mogło, gdyż bez wątpienia znajduje się w zamku jaki, choćby stary fortepian. Na te słowa głośno roześmiała się panna Adelajda (tak się nazywała towarzyszka baronowej) i zapytała mnie, czy nie wiem o tym, że od niepamiętnych czasów w zamku tutejszym rozlegają się tylko wrzaskliwe trąby, płaczące na znak radości rogi myśliwskie, skrzeczące skrzypce, rozstrojone basy i beczące oboje przechodnich muzykantów. Baronowa przecież nie

Muzyka

Muzyka

<sup>29</sup>rad (daw.) — chętny. [przypis edytorski]

odstępowała od swego życzenia, chciała posłuchać muzyki, a i mnie przy tym. Dlatego wraz z Adelajdą gubiły się w pomysłach, skąd by jaki fortepian wydobyć. W tej właśnie chwili stary Franciszek kroczył poważnie przez salę.

— Oto człowiek, jakiego nam potrzeba: on na wszystko znajdzie radę, nawet na rzeczy niemożliwe.

Mówiąc te słowa, panna Adelajda wezwała go i gdy mu tłumaczyła, o co rzecz idzie, baronowa przysłuchiwała się z założonymi rękami i główką naprzód pochyloną, patrząc z miłym uśmiechem staremu w oczy. Prześlicznie wtedy wyglądała, podobna do pięknego dziecka, które by rade<sup>30</sup> jak najprędzej mieć w ręku upatrzoną zabawkę.

Franciszek swoim zwyczajem długo się namyślał, wyliczając mnóstwo przyczyn, że to prawie niepodobieństwo<sup>31</sup>, aby naprędce wystarać się o instrument tak rzadki, wreszcie przymilająco pogłaskawszy się po brodzie, rzekł:

— Ależ pani rządczyni, tam na wsi, wybijają wcale niepospolicie na klawicymbałach<sup>32</sup> czy też, jak je tam z cudzoziemska inaczej nazywają — ten instrument, co to przy nim śpiewają także tak żałośnie i czule, że oczy się z płaczu czerwienią niby od cebuli, a przy tym chciałoby się skakać na obydwie nogi...

— To ona ma fortepian? — przerwała mu panna Adelajda.

— A jużci, mówił stary, prosto z Drezna sprowadzony, jakiś...

— Pysznie, wybornie! — zawołała baronowa.

— Jakiś piękny instrument — ciągnął stary dalej — ale to bieda, że trochę za słaby, bo jak organista śpiewał:

„*We wszystkich czynach moich...*” uderzył tak silnie, że...

— Ach, mój Boże! — zawołała baronowa i panna Adelajda, że...

— Że wszystko trzeba było z wielkim kosztem do miasta odstawić do reperacji...

— Ale już od reperacji sprowadzono? — zapytała niecierpliwie panna Adelajda.

— A jużci, wielmożna panienko, i pani rządczyni będzie sobie uważała za zaszczyt...

W tej chwili przechodził baron. Zdziwił się widząc nas razem i szepnął baronowej z szyderskim uśmiechem:

— Czy Franciszek znów dobrych rad udziela?...

Baronowa zarumieniła się i spuściła oczy, a Franciszek, przestraszony, umilkł i stał jak żołnierz wyprostowany ze spuszczonej na dół rękami. Nadciągnęły stare ciotki w swych jedwabnych sukniach i uprowadziły baronową ze sobą. Za nimi poszła i panna Adelajda. Zostałem, jak oczarowany. Nie posiadałem się z radości, że zbliżę się do niej, do mojej ubóstwianej, co zawładła całą moją istotą, złościłem się tylko na barona, który mi się wydał dzikim despotą. Bo czyż nie był taki? Czemuż stary, osiwiwały sługa tak niewolniczo musiał się zachowywać?

— Słuchaj no! Spójrzaj przecie na mnie — zawołał stryjeczny dziadek, trącając mnie po ramieniu. Poszliśmy na górę do swoich pokojów.

— Nie ciśnij się tak bardzo do baronowej — rzekł do mnie, gdyśmy byli sami. — Po co ci? Zostaw to młodemu fircykowi<sup>33</sup>, tak chętnym do nadskakiwania, a na nich nie zbywa!

Opowiedziałem dziadkowi, co zaszło i zapytuję, czy zasługuję na jego wymówki? Nic na to nie odpowiedział, tylko: „hm, hm”, włożył na siebie szlafrok, zapalił fajkę i usadowił się wygodnie w fotelu, najspokojniej mówił o wczorajszych wypadkach na polowaniu, żartując sobie ze mnie, że tyle razy spudłował.

W zamku nastała cisza: panowie i panie zajęci byli strojami. Owi muzykanci z rzępolącymi skrzypcami, rozstrojonymi basami i wrzaskliwymi obojami, o których mówiła panna Adelajda, przybyli właśnie i w nocy miał być, ni mniej, ni więcej, tylko bal najformalniejszy. Mój staruszek wołał spoczynek niż zabawę, pozostał więc w swoim pokoju. Ja zaś przeciwnie, wybrałem się na bal. Byłem właśnie już gotów, kiedy z cicha zapukano do drzwi i wszedł Franciszek. Oświadczył mi z uśmiechem, że tylko co sprowadzono

<sup>30</sup>rad (daw.) — chętny. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>niepodobieństwo (daw.) — coś niemożliwego. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>klawicymbał — dawny instrument muzyczny, klawiszowy, strunowy, w kształcie fortepianu, w którym dźwięk wydobywał się poprzez naciśnięcie klawisza, który powodował szarpnięcie struny piórkiem. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>fircyk — lekkoduch, modniś, elegant. [przypis edytorski]

na saniach klawicymbały<sup>34</sup> od pani rządczyni i wniesiono do pokoju jaśnie wielmożnej baronowej. Panna Adelajda kazała mnie prosić, abym tam zaraz przyszedł. Można sobie wyobrazić, jak mi pulsa<sup>35</sup> biły, z jakim wzruszeniem otwierałem pokój, w którym ją znalazłem. Panna Adelajda życzliwie mnie powitała. Baronowa, zupełnie na bal ubrana, siedziała zamysłona przed tajemniczym pudłem, w którym drzemały tony, które ja dopiero zbudzić miałem. Powstała, a piękność jej takim zajaśniała blaskiem, iż długo patrzyłem na nią, nie mogąc słowa wymówić.

— A teraz, Teodorze (według przyjętego na północy zwyczaju, który również i na odległym południu spotykamy, nazywała każdego po imieniu), instrument już mamy — rzekła do mnie uprzejmie. — Daj Boże, aby się okazał godnym pańskiego talentu.

Skorom tylko pokrywę otworzył, zachropotało mnóstwo strun pozrywanych, a gdy uderzył akord, dały się słyszeć jakieś niesforne, straszliwe głosy. Struny, które pozostały, były rozstrojone.

— Znowu widać organista ze swymi delikatnymi rączkami — zawołała, śmiejąc się, panna Adelajda. Baronowa zaś rzekła ze smutkiem:

— Ach, to prawdziwe nieszczęście! Ja tu widać najmniejszej przyjemności znaleźć nie mogę!

Przepatrzyłem<sup>36</sup> schowanka instrumentu i szczęśliwym trafem znalazłem kilka zwitków strun, ale klucza nigdzie odszukać nie było można. Nowe żale! A kiedy powiedziałem, że każdy klucz zwyczajny może się tu przydać, byle jego ząb przystawał<sup>37</sup> do kołeczków, wtedy baronowa i panna Adelajda, ucieszone, zaczęły biegać tu i ówdzie, tak że w niedługim czasie naznosiły mi cały stos różnych stalowych kluczyków.

Teraz zabrałem się pilnie do roboty: panna Adelajda, a nawet baronowa szczerze mi pomagały, próbując każdego klucza. Jeden z nich zaczął nieźle naciągać. Obie głośno objawiły swą radość. Wtem zasyczała struna i pękła, przestraszone cofnęły się.

Baronowa swymi delikatnymi rączkami przerzuca ostre druczane struny i podaje mi numery, jakich potrzebuję. Gorliwie trzyma rolki, które ja rozwijam, ale te znow się zwijają. Baronowa się niecierpliwi, panna Adelajda się śmieje, a ja tymczasem idę za rozwijającym się kłębkim w kąt pokoju i wszyscy razem staramy się całą strunę wydobyć, ale i ta, wyciągnięta, zrywa się. Na koniec, po wielu niemałych trudach, właściwe struny się dobrały i z bezładnego brzęczenia wydobywały się czyste i dźwięczne akordy.

— Wyborne, wyborne — zawołała baronowa, spoglądając na mnie z miłym uśmiechem. — Fortepian się dostraja.

Wspólne te zabiegi i trudy razem podjęte szybko rozpedziły chłodną powściągliwość, jakiej etykieta wymaga. Powzieliśmy ku sobie wzajemną ufność, która jak iskra elektryczna wstrząsnęła mną i skruszyła ten straszny przymus, co jak kamień ciążył mi na piersiach. Ów szczególnie patos, który zwykle ukazuje się w podobnym do mojego zachowaniu, zupełnie mnie opuścił, toteż gdy fortepian został jako tako nastrojony, zamiast w fantazji wyrazić moje uczucia, jak to sobie wprzód ułożyłem, zacząłem grać owe miłe canzonetty<sup>38</sup>, które do nas z południa się dostały. A kiedy śpiewałem: *Senza di te... Sentimi idol mio...*<sup>39</sup> Albo też: *Almen se non poss'io*<sup>40</sup> i po raz setny: *Morrirmi sento*<sup>41</sup>... a jeszcze: *Adio*<sup>42</sup>... i *Oh dio*<sup>43</sup>... wzrok Serafiny stawał się coraz jaśniejszy. Siadła tuż przy mnie, około fortepianu. Oddech jej dotykał mojej twarzy. Kiedy oparła rękę na poręcz mojego krzesła, biała wstążka, która się odczepiła od balowego stroju, spadła na moje ramiona i poruszana tonami muzyki i westchnieniami Serafiny przelatowała ode mnie do

Miłość

<sup>34</sup>klawicymbał — dawny instrument muzyczny, klawiszowy, strunowy, w kształcie fortepianu, w którym dźwięk wydobywał się poprzez naciśnięcie klawisza, który powodował szarpnięcie struny piórkiem. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>pulsa (daw.) — tętno. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>przepatrzeć — tu: przeszukać. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>przystawać — tu: pasować. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>canzonetta — krótką, popularną formą muzyczną z XVI i XVII w.; wywodzi się z Włoch. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*Senza di te... Sentimi idol mio...* (wł.) — bez ciebie... usłysz mnie, moja kochana. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*Almen se non poss'io* (wł.) — Jeśli nie mogę, przynajmniej..., kompozycja Vincenza Belliniego do anonimowych słów. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*Morrirmi sento* (wł.) — czuję, że umieramy. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*Adio* (wł.) — żegnaj. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*Oh dio* (wł.) — Och, Boże. [przypis edytorski]

niej, niby wierny poseł miłości! Dziwna rzecz, że nie postradałem zmysłów. Gdy namyślając się nad nową piosenką, dobieierałem akordy, powstała panna Adelajda, która sobie w kącie pokoju siedziała, przybiegła do baronowej, uklękła przed nią, a ujmując obie dwie jej ręce i przyciskając do piersi, zawołała:

— Kochana baronowo, Serafinko droga! Teraz ty musisz zaśpiewać.

Baronowa na to:

— Co też ty mówisz, Adelajdo, jakże bym śmiała występować z moim biednym głosem obok naszego wirtuoza?

Jakże cudnie wyglądała, podobna do miłego, wstydzącego się dziecka, gdy ze wzrokiem spuszczone, zarumieniona, walczyła między ochotą a obawą. Łatwo się domyśleć, jak ją błagałem i gdy wspomniała o ludowych piosenkach kurlandzkich, dopóty prosiłem, aż zaczęła dobieierać tony na fortepianie, szukając niby przygrywki. Chciałem jej miejsca ustąpić przy fortepianie, ale nie pozwoliła, upewniając mnie, że ani jednego akordu wziąć nie potrafi, dlatego też lęka się, że głos jej bez akompaniamentu wyda się słaby i niepewny. I zaczęła miłym, wdzięcznym głosem śpiewać jakąś piosenkę, której prosta melodia, tak właściwa owym pieśniom ludowym, co tak z głębi serca płyną, iż w jasnym ich blasku, który nas olśniewa, uznać musimy wyższą poetyczną naszą naturę. Jakiś tajemniczy urok zawiera się w prostych wyrazach, które zmieniają się w niewysłowione hieroglify i serce nam wypełniają. Któż nie przypomina sobie owej hiszpańskiej piosenki, której treść wyrażona w słowach jest mniej więcej taka: „Z moją dziewczeczką płynę po morzu, a potem burza powstaje. A moja dziewczeczka, przelękła, ślania się to w tę, to w ową stronę! Nie, już nie popłynę po morzu z moją dziewczeczką! Toż samo i piosnka baronowej nie więcej mówiła: „Niedawno tańczyłam na weselu z moim narzeczonym i wypadł mi kwiatek z włosów, on go podniósł, a oddając mi, powiedział: Kiedyż, o moja dziewczyno, będziemy znów na weselu?” Kiedy przy drugiej zwrotce tej piosenki dobrałem akordy i w zapale, który mnie ogarnął, schwyciłem z ust baronowej melodię następnej, to wydałem się jej i pannie Adelajdzie tak wielkim artystą, że zasypały mnie pochwałami.

Pozapalane światła w sali balowej, leżącej w bocznym pawilonie, wniknęły i do pokoju baronowej, a wrzaskliwe odgłosy trąb i rogów zapowiadały, że już czas udać się na bal.

— Ach, muszę już tam iść — rzekła smutnie baronowa.

Powstałem od fortepianu.

— Panu zawdzięczam tę precudną godzinkę, którą zaliczę do najmilszych chwil, jakie w K. przeżyłam. — Mówiąc to, baronowa podała mi rękę, gdy ją w najwyższym zachwycie do ust przyciskałem, czułem, jak przyspieszone tętna uderzały w jej palcach. Nie wiem już potem, jak się dostałem do pokoju dziadka, a następnie poszedłem na bal.

Żył niegdyś Gaskończyk<sup>44</sup>, który lękał się walki, bo każda rana miała być dla niego śmiertelną, gdyż cały był sercem. Do niego mogłem się i ja, i każdy w moim usposobieniu porównać, bo tu każde wzruszenie staje się śmiertelnym. Ręka baronowej, jej palające palce, dotknęły mnie jak zatrute strzały. Krew wrzała mi w żyłach.

Dziadek, chociaż wcale się mnie nie wypytywał, zaraz nazajutrz wystąpił z historią wieczora, który z baronową przepędziłem. Dotknęło mnie to wielce, ale opowiadał wesoło, śmiejąc się. Nagle spoważniał i rzekł:

— Proszę cię, kuzynku, przestań tej niedorzeczności, która cię tak silnie opanowała. Wiedz o tym, że twoje postępowanie, jakkolwiek zdaje się być niewinne, może mieć nieprzyjemne następstwa. Stałeś w niebacznym<sup>45</sup> szale na cienkim lodzie, który załamał się pod tobą i ani się spostrzeżesz, jak wpadniesz do wody. Nie będę cię wstrzymywał za połę, bo wiem, że byś znów dostał zawrotu głowy i na śmierć się rozchorował. Trochę kataru można dostać we śnie, ale złośliwa gorączka, skoro się uczepi twego życia, to i lata przeminą, a nie przyjdiesz do siebie. Niech diabli porwą twoją muzykę, jeśli nie potrafisz lepszego z niej zrobić użytku, jak zamącać spokój wrażliwym i delikatnym kobietom.

— Ależ — przerwałem dziadkowi — nigdy mi na myśl nie przyszło zakochać się w baronowej!

— Błaźnie! — krzyknął stary — Gdybym się o tym dowiedział, to bym cię oknem wyrzucił.

<sup>44</sup>Gaskończyk —mieszkaniec lub ktoś pochodzący z Gaskonii, historycznej dzielnicy Francji. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>niebaczny — nieostrożny. [przypis edytorski]

Baron przerwał nam nieprzyjemną rozmowę, a rozpoczęta jakaś sprawa oderwała mnie od miłosnych wrażeń, w których Serafinę tylko widziałem i o niej marzyłem. W towarzystwie kiedy niekiedy rzuciła mi kilka uprzejmych słów, ale nie minął żaden wieczór, żeby nie przyszedł do mnie tajemny poseł od panny Adelajdy, który mnie wzywał do Serafiny. Tak się już potem złożyło, że rozmowa przeplatała muzykę. Panna Adelajda nie była już zbyt młodziutka, aby się okazywać tak naiwną i roztargnioną. Wyrzywała się zwykle z jakim wesołym konceptem wtedy właśnie, kiedyśmy się z Serafiną zagłębiali w sentymentalne przeczucia i nieokreślone marzenia. Z wielu szczegółów mogłem poznać, że baronową trapi jakiś wewnętrzny niepokój, który zauważyłem w jej usposobieniu, gdy ją po raz pierwszy zobaczyłem. Teraz wpływ zamkowego upiora nagle mi się wyjaśnił. Ileż to razy chciałem Serafinie powiedzieć, jak mnie przeraził niewidzialny wróg, jak go dziadek mój wypędził zapewne na zawsze, ale krępował mnie samego jakiś przestach, ile razy chciałem otworzyć usta.

Pewnego dnia nie było baronowej przy stole na obiedzie. Mówiono, że jest chora i z pokoju wychodzić nie może. Z troskliwością pytano barona, czy choroba jest niebezpieczna. Ten uśmiechnął się ponuro, jakby z szyderstwem, i rzekł:

— Nic strasznego, nabawił ją lekkiego kataru wiatr morski, który widocznie nie może tu znosić żadnego słodkiego głosiku, żadnych innych tonów, prócz chrapliwego hallo myśliwskiego.

Mówiąc te słowa baron, a właśnie siedziałem naprzeciwko niego, rzucił na mnie przesywające spojrzenie. Do mnie więc mówił, nie do sąsiada. Obok mnie była panna Adelajda, ta zarumieniła się cała, wlepiła oczy w talerz przed nią stojący, a bawiąc się i stukając widelcem, szepnęła mi:

— Jeszcze dziś zobaczysz Serafinę, jeszcze dziś słodkie tve piosenki uspokoją chore jej serce.

Gdy Adelajda wymówiła te słowa, naraz<sup>46</sup> zdało mi się, jakobym zostawał z hrabiną w nieczystych, zakazanych stosunkach miłosnych, które strasznie może zbrodnią skończyć się mogły. Ostrzeżenie dziadka zaciężyło mi na sercu. Cóż teraz miałem czynić? Nie widzieć jej więcej? Dopóki w zamku zostawałem, było to niepodobieństwem, a gdybym chciał opuścić zamek i wrócić do miasta — także nie mogłem. Ach, zbyt mocno czułem, abym nie miał dość siły zbudzić się z marzenia, które mnie kołysało fantastycznym szczęściem miłości. Adelajda wydała mi się jak zwyczajna stręczycielka, chciałem nią wzgardzić.... a przecież, namyśliwszy się, zawstydziłem się swojego głupstwa. Czyliż w naszych błogosławionych godzinach wieczornych, w tych poufnych stosunkach z Serafiną zaszło co takiego, na co zwyczaj i przyzwoitość nie pozwala? Jakże mogłem przypuszczać, że baronowa żywi dla mnie jakie uczucie? A jednak byłem przeświadczony o niebezpieczeństwie mojego położenia.

Wcześniej wstawano od stołu, gdyż jeszcze miało być polowanie na wilki, które pokazały się tuż pod samym zamkiem. Polowanie to przypadło mi na rękę, powiedziałem więc dziadkowi o moim zamiarze. Uśmiechnął się zadowolony i rzekł do mnie:

— To dobrze, że się raz rozruszasz, ja w domu zostaję. Możesz wziąć moją fuzję. Przypasz także kordelas<sup>47</sup>, w niebezpieczeństwie jest to dobra i pewna broń, jeżeli się tylko przytomność zachowa.

Część lasu, w której wilki miały swoje legowisko, otoczyli strzelcy. Było strasznie zimno, wiatr łomotał drzewami, a śnieg bił nie żartem w oczy tak, iż przy zapadającym zmroku zaledwie na sześć kroków przed sobą widziałem. Zziębły porzuciłem stanowisko i schroniłem się w głąb lasu. Wziąwszy fuzję pod pachę, oparłem się o jakieś drzewo i zapomniałem o polowaniu. Myśl poniosła mnie do Serafiny, do jej ustronnego pokoju. Wtem z daleka padły strzały i w tej samej chwili coś poruszyło się w zaroślach trzcinyowych, i na jakieś dziesięć kroków od siebie ujrzałem ogromnego wilka, który chciał koło mnie przebiec. Zmierzyłem, wystrzeliłem... i chybiłem, byłbym więc zgubiony, gdybym nie miał tyle przytomności, iż wydobyłem kordelas i bestii, która mnie rozszarpać chciała, wpakowałem go w gardło, krew trysnęła i obryzgała mi rękę i ramię. Jeden ze strzelców

Polowanie

Niebezpieczeństwo

<sup>46</sup>naraz (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>kordelas — broń biała, długi prosty lub zakrzywiony nóż myśliwski do skłuwania i patroszenia upolowanej zwierzyny. [przypis edytorski]

barona, który stał niedaleko ode mnie, nadbiegł przerażony. Na powtórzony sygnał myśliwski wszyscy koło nas się zbrali. Przystąpił do mnie baron.

— Na miłość Boską, pan we krwi broczysz? Czyś raniony?

Upewniłem go, że nic mi się nie stało. Wtedy napadł na strzelca, który był przy mnie i wyrzucał mu, że nie wystrzelił, kiedy ja chybiłem. A chociaż ten usprawiedliwiał się, że to było niemożliwe, ponieważ wilk w tej samej chwili rzucił się na mnie, tak iż strzał mógł mnie dosięgnąć, baron przecież przy swoim obstawał utrzymując, że powinien był czuwać nade mną, jako nad mniej doświadczonym myśliwym. Tymczasem strzelcy podnieśli wilka. Był to ogromny zwierz, jakiego od dawna nie widziano. Dziwili się wszyscy mojej odwadze i stanowczości, chociaż mój postępek wydał mi się bardzo naturalny, bo nie pomyślałem nawet o niebezpieczeństwie, na jakie się narażam. Szczególniej baron okazywał mi swoje współczucie, nie przestał mnie wypytywać, czy wilk mnie nie skaleczył i czy nie lękam się złych skutków z przestachu?

Powrócono do zamku, baron wziął mnie pod rękę jak najlepszego swego przyjaciela, strzelbę poniósł strzelec. Mówił wciąż o moim bohaterskim czynie, tak że w końcu ja sam uwierzyłem w swoje bohaterstwo. Pozbyłem się nieśmiałości i uczulem, że stanąłem na równi z baronem, jako człowiek odważny i przytomny. Student szczęśliwie złożył egzamin. Nie było już studenta. Wszelkie nieprzyjemności nowicjuszowstwa zniknęły. Zdało mi się, że nabyłem prawa starać się o względy baronowej. Któż nie wie, do jak niestatecznych marzeń zdolna jest fantazja zakochanego młodzieńca? Na zamku, przed kominem, przy dymiącej wazie ponczu, zastałem bohatera dnia tego, gdyż oprócz mnie tylko baron jeden powalił ogromnego wilka, inni zaś, zwalając swoje pudła na niepogodę i ciemność, poprzestali na opowiedzeniu strasznych historii o doświadczonym niegdyś na polowaniu szczęściu lub przebytych niebezpieczeństwach. Spodziewałem się, że dziadek mnie pochwali i podziwiać będzie. W tej nadziei opowiedziałem mu cały wypadek dosyć szeroko, nie zapomniawszy jaskrawymi odmalować barwami krwiożerczego spojrzenia dzikiej bestii. Staruszek tymczasem roześmiał mi się w nos i rzekł:

— Bóg potężny czuwa nad słabymi.

Znużony picim i towarzystwem, gdy sunąłem przez korytarz do sali sądowej, ujrzałem przed sobą jakąś postać, która przemknęła ze światłem w rękę. Wszedłszy do sali, poznałem, że to była panna Adelajda.

— A to jak duch jaki lub upiór trzeba się włóczyć, aby cię odszukać, mój panie, pogromco wilków.

Słowa duch — upiór, wymówione w tych miejscach, niemiłe uczyniły na mnie wrażenie. Naraz stanęły mi przytomnie w umyśle owe straszliwe zjawiska nocne. Wówczas dał wiatr morski w potężne organy, szyby w oknach przeraźliwie brzęczały, księżyc rzucał bładawe światło na ową tajemniczą ścianę, na której dało się słyszeć drapanie. Zdało mi się, że dostrzegam na niej krwawe ślady. Panna Adelajda, która mnie ciągle za rękę trzymała, musiała poczuć te zimne dreszcze, które mnie przejmowały, bo zawołała z cicha:

— Co panu jest? Kostniejesz cały. Potrafię cię ożywić. A wiesz pan, że baronowa wcale się nie spodziewa ujrzeć pana? Nie chce dać wiary, że w istocie wilk pana nie rozszarpał. Dręczy się okropnie. Ach, mój przyjacielu, cóż żeś to z Serafini uczynił? Jeszcze jej nigdy w podobnym usposobieniu nie widziałam. A... jak teraz szybko puls bije! Otóż zmarły jegomość nagle zmartwychwstał. No chodźże pan, tylko po cichu...

I milcząc, dałem się prowadzić. Sposób, w jaki mówiła Adelajda o baronowej, zdał mi się niegodnym, a szczególnie wzmianka o naszym porozumieniu się. Kiedy wszedłem z Adelajdą do pokoju, ciche: „ach” wyrwało się Serafinie. Postąpiła ku mnie trzy czy cztery kroki, potem jakby opamiętawszy się, stanęła na środku pokoju. Odważyłem się ująć jej rękę i do ust przycisnąć. Baronowa nie cofając ręki, mówiła:

— Mój Boże, czy to pańskie powołanie mierzyć się z wilkami? Czy pan nie wiesz o tym, że bajeczne czasy Orfeuszów<sup>48</sup>, Amfionów<sup>49</sup> już dawno minęły? Dzikie bestie nie znają dziś najmniejszego uszanowania dla najznakomitszego artysty!

Ten piękny zwrot, którym baronowa pokryła żywe współczucie dla mnie i opaczne jego tłumaczenie, przywrócił mi przytomność umysłu, zapanowałem nad sobą. Sam

<sup>48</sup>Orfeusz (mit. gr.)—tracki śpiewak i poeta. Według legendy jego muzyka potrafiła skłonić do słuchania nawet dzikie zwierzęta. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>Amfion (mit. gr.) — syn Zeusa i królowny tebańskiej Antiope, król Teb, muzyk i poeta. [przypis edytorski]

już nie wiem, jak się to stało, że nie usiadłem, jak zwykle, przy fortepianie, ale zająłem miejsce na kanapie obok baronowej. Słowami: „I jakże się pan wydobył z niebezpieczeństwa?” — zawiązała się jakby umowa, że na dziś nie muzyką, ale rozmową się zajmiemy. Gdy opowiedziałem mój wypadek w lesie i wspomniałem o serdecznej dla mnie życzliwości barona, jakiej się po nim nie spodziewałem, baronowa odrzekła miękkim, prawie smutnym głosem:

— Jakkolwiek wydaje się on panu porywczym i szorstkim, wierzaj mi pan, że takim w istocie nie jest. Zmienia swój charakter, a przynajmniej sposób postępowania, skoro tylko przybędzie w te posępne mury... Najwięcej go rozstraja myśl ciągle prześladowająca, że tu stanie się coś strasznego, jakieś wielkie nieszczęście. Dlatego pański wypadek na polowaniu, który, dzięki Bogu, żadnych złych nie pociągnął skutków, silnie go wstrząsnąć musiał. Na najmniejsze niebezpieczeństwo nie chce narazić najlichszego sługi swego, a cóż dopiero milego, niedawno pozyskanego przyjaciela. Jestem też pewna, że Gotlib, któremu przypisuje winę pańskiego przypadku, ukarany będzie jeśli nie więzieniem, to wstydem, gdyż bez fuzji, a tylko z pałką będzie mu wolno przyłączyć się do orszaku myśliwych. Już to, że podobne polowania nigdy bez wypadku obejść się nie mogą, już to, że sam baron, chociaż się lęka jakiego nieszczęścia, ciągle kusi jednak złego ducha, rozkosz w tym znajdując. Dość, że to wszystko sprawia pewien przewrót w jego życiu, który i na mnie przykro oddziaływał. Opowiadają dziwne rzeczy o przodku barona, który majorat ustanowił, a wiem dobrze, że jakaś tajemnica rodzinna w tych murach się ukrywa, jakaś straszna przeszkoda wypędza stąd właścicieli, pozwalając im tu przebywać przez krótki zaledwie czas i to wśród dzikiej, głośniejszej wrzawy. Ale ja jakże samotna jestem wśród tych hałasów! Posępność wiejąca tu ze wszystkich ścian przenika mnie do głębi duszy. Pan, drogi przyjacielu, swoim talentem dał mi pierwsze pogodne chwile, jakich tu zaznałam. Jakżem ci za to serdecznie wdzięczna!

Ucałowałem podaną mi rękę i powiedziałem, że i ja pierwszego dnia, albo raczej pierwszej nocy, doświadczyłem w tych murach przykrego, prawie strasznego wzruszenia. Baronowa nie spuszczała ze mnie oka, gdy wstrząśnięcie całego zamku, a szczególnie rujnacji w sali sądowej przypisywałem ciągle wiejącym wiatrom morskim. Być może, iż w moim głosie było coś takiego, co kazało się domyślać czegoś więcej, niż powiedziałem — dość, że kiedyś umilkł, baronowa pośpiesznie zawołała:

— Nie, nie! Musiało się panu wydarzyć coś innego jeszcze w tej sali, do której nigdy bez pewnej trwogi nie wchodziłem. Zaklinam pana, powiedz mi wszystko.

Z bladej twarzy Serafiny, podobniejszej do martwej niż żywej, zmiarkowałem, że lepiej będzie opowiedzieć jej dokładnie całe wydarzenie, aniżeli dozwoląc wzburzonej wyobraźni przedstawić ową przeszkodę, z nieznanymi mi powodów daleko straszniejszą niż w istocie. Słuchała mnie uważnie i przerażenie jej zwiększało się coraz bardziej. A kiedy mówiłem o owym drapaniu się po ścianie, wykrzyknęła:

— Ależ to okropne! Tak, w tym murze ukrywa się jakaś straszna tajemnica.

Gdy potem opisałem, jak dziadek siłą swego ducha pokonał moc nieczystą, odetchnęła głęboko, jakby wielki ciężar spadł jej z piersi. Nachyliła się i w dłoniach ukryła twarz swoją. Teraz dopiero spostrzegłem, że Adelajda wyszła i nas samych zostawiła. Dawno skończyłem opowiadanie, a Serafina wciąż milczała. Wstałem więc po cichu, usiadłem przy fortepianie i dźwięcznymi akordami usiłowałem wywołać weselsze myśli, które by ją wywiodły z ciemnych otchłani, w jakie ją pogrążyły moje słowa. Zanuciłem potem, jak mogłem najrzewniej śliczną canzonę<sup>50</sup> opata Stefaniego. Owe pełne tęsknoty słowa: *Occhi perche piangete*<sup>51</sup> zbudziły Serafinę ze smutnej zadumy. Zaczęła mnie słuchać z miłym uśmiechem, chociaż łzy w oczach miała. A potem... jak to się stało — nie pamiętam, padłem przed nią na kolana, ona się do mnie skłoniła, objąłem ją w ramiona i długi, gorący pocałunek spłonął na moich ustach... Jak to się stało, że zmysłów nie postradałem, gdym uczuł, gdy mnie lekko do siebie przycisnęła? Nie wiem, jak wypuściłem ją z moich objęć i szybko powstawszy, wróciłem do fortepianu. Odwróciła głowę ode mnie i kilka kroków postąpiła do okna, nagle przybrawszy postawę dumną, jakiej wprzód nigdy u niej nie widziałem, zbliżyła się do mnie, a przenikająco spojrzawszy mi w oczy, rzekła:

<sup>50</sup>canzona (wł.) — pieśń liryczna, zwł. włoska. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*Occhi perche piangete* (wł.) — oczy, dlaczego płaciecie? [przypis edytorski]

Przecucie

Polowanie, Hańba

Pocałunek



— Dziadek pański jest bardzo zacny starzec, prawdziwy to anioł naszej rodziny. Oby zechciał nie zapominać o mnie w swej pobożnej modlitwie.

Nie byłem zdolny wyrzec ani jednego słowa. Zgubna trucizna, którą wyssałem z owych pocałunków, budziła się i wrzała we wszystkich tętnach, we wszystkich moich nerwach. Panna Adelajda weszła. Wściekłość wewnętrznej walki spłynęła we łzach gorących, których powstrzymać nie byłem w stanie. Adelajda zdziwiona spojrzała na mnie i uśmiechnęła się dwuznacznie. Byłbym ją udusił ze złości. Baronowa podała mi rękę i rzekła z nieopisaną dobrocią:

— Żegnam cię, drogi przyjacielu. Pamiętaj pan, że nikt lepiej nie rozumiał pańskiej muzyki ode mnie.

Ach, te słowa będą długo, długo dźwięczały w mej duszy.

Wyjąkałem kilka, bez związku, niedorzecznych wyrazów i pobiegłem do mieszkania. Dziadek już spoczywał. Zatrzymałem się w sali, padłem na kolana i głośno płakać zacząłem, wzywając imienia ukochanej, jednym słowem, oddałem się wszystkim niedorzecznościom miłosnego szału. Dopiero wezwanie dziadka, który się zbudził, opamiętało mnie.

— Kuzynku, ja myślę, żeś albo zwariował, albo znów potykasz się z wilkiem. Ruszaj mi zaraz do łóżka, jeżeliś łaskaw!

Wezwanie to poskutkowało. Udałem się na spoczynek, postanowiwszy sobie marzyć o Serafinie.

Mogło już być około północy, a jeszcze nie spałem. Zdało mi się, że słyszę oddalone głosy, jakieś przebieganie tam i na powrót, otwieranie i zamykanie drzwi. Zacząłem nadstawiać ucha i usłyszałem przez korytarz zbliżające się kroki. Drzwi od sali otworzyły się i zapukano do naszego pokoju.

— Kto tam? — zawołałem głośno. Z zewnątrz dało się słyszeć:

— Panie justycjariuszu, panie justycjariuszu, obudź się pan.

Poznałem głos Franciszka i gdy zapytałem, czy się pali — już dziadek obudził się i zawołał:

— Gdzie się pali? Czy piekielne sztuczki już się rozpoczynają?

— Ach, wstań pan, panie justycjariuszu — mówił Franciszek — pan baron prosi pana do siebie.

— Czego pan baron chce ode mnie w nocy? — pytał dziadek dalej — Czy pan baron nie wie, że justycjariat wraz z justycjariuszem śpią w łóżku?

— Ach — przerwał Franciszek smutnie. — Jaśnie pani baronowa umiera. Zerwałem się z łóżka z przerażającym krzykiem.

— Otwórz drzwi Franciszkowi — zawołał na mnie dziadek.

Bezprzytomny ślaniałem się po pokoju, nie mogąc ani drzwi, ani zamku znaleźć. Dziadek musiał mi pomóc. Wszedł Franciszek błydy i pomieszany i zapalił świece. Zaledwieśmy się trochę przyodziewali, usłyszeliśmy samego barona odzywającego się z sali.

— Czy mogę z tobą pomówić, kochany panie V...?

— Po coś ty się ubrał kuzynie, wszak baron mnie tylko potrzebuje — pytał mnie dziadek, domyślając się mojego zamiaru.

— Pójdę tam, muszę ją zobaczyć, a potem umrę! — rzekłem głucho, zgnębiony straszną boleścią.

— A... to tak... masz słuszność, kuzynku. Powiedziawszy te słowa, stary trzasnął mi drzwiami przed nosem, że aż ściany zadrżały i na klucz je zamknął.

W pierwszej chwili, oburzony tym gwałtem, chciałem drzwi wysadzić, ale pomyślawszy, jak fatalne mogłoby to pociągnąć za sobą skutki, postanowiłem czekać na dziadka i wtedy, bądź co bądź, wydobyć się spod jego przemocy. Każda chwila stawała się dla mnie śmiertelna. Wreszcie usłyszałem, jak po barona przyszedł posługacz i ten natychmiast udał się za nim. Dziadek wrócił do pokoju.

— Ona umiera — zawołałem, biegnąc naprzeciwko niego.

— A tyś zwariował — odparł spokojnie. Schwycił mnie i posadził na krześle.

— Ja pójdę tam — krzyczałem. — Muszę ją zobaczyć, choćby mnie to życie kosztować miało.

— Zrób to, kochany kuzynku. — rzekł dziadek, zamykając drzwi na klucz i chowając go do kieszeni.

Prawnik

Wtedy ogarnęła mnie wściekłość, porwałem za broń nabitą i zawołałem:

— W twoich oczach, dziadku, w łeb sobie wypalę, jeśli mi zaraz drzwi nie otworzysz.

Dziadek stanął tuż przy mnie i rzekł, patrząc mi w oczy, jakby mnie chciał przeniknąć swym wzrokiem:

— Czy ty myślisz, chłopcze, że mnie zastraszysz swoją nędną pogroźką? Czy ty myślisz, że twoje życie wiele znaczy u mnie, kiedy je pragniesz dla dziecinnego głupstwa porzucić jak nieużyteczną zabawkę? Co ty możesz mieć do czynienia z żoną barona? Kto ci dał prawo, abys jak fircyk jaki wciskał się tam, gdzie nie powinienes i gdzie nic sobie z ciebie nie robią? Czy chcesz odgrywać rolę zakochanego pasterza w uroczystej chwili śmierci?

Samobójstwo

Zgnębiony padłem na krzesło. Po niejakej chwili mówił dalej dziadek, już nieco łagodniejszym głosem:

— A przy tym dowiedz się, że prawdopodobnie baronowej żadne nie grozi niebezpieczeństwo, tylko panna Adelajda wszystko przesadza. Jeśli jej kropelka wody na nos spadnie, to zaraz użala się na straszną niepogodę. Na dobitkę wrzawa ta, jakby wśród pożaru, doszła uszu starych ciotek. Te z płaczem przybiegły, opatrzone całym arsenałem rzeźwiących kropli, eliksirów długiego życia i Bóg wie czego. A tu zwykły napad młodości...

Kochanek romantyczny

Choroba

Dziadek zatrzymał się. Widział jak walczyłem ze sobą. Przeszedł się kilka razy po pokoju, stanął znów przede mną, roześmiał się serdecznie i rzekł:

— Kuzynku, kuzynku, cóż ty za głupstwa wyprawiasz? No — to widać nic innego, tylko diabeł w różny sposób swoje sztuczki płata. Samochcąc wpadłeś mu w pazury, teraz harce z tobą wyprawia.

Znów przeszedł kilka kroków i mówił dalej:

— Sen już przepadł, cóż robić? Może by nieźle było wypalić fajkę i tak spędzić parę godzin, nim zadnieje.

Powiedziawszy to, zdjął ogromną fajkę ze ściennej szafy, nałożył ją z wolna, nucąc sobie po cichu jakąś piosenkę, potem wyszukał między papierami ćwiartkę papieru, rozdarł ją, zrobił fidibus<sup>52</sup> i zapalił. Wypuszczając gęste kłęby dymu, rzekł od niechcienia:

— No, kuzynku, jakże to było z tymi wilkami?

Nie umiem wypowiedzieć, jak ta jego spokojność w dziwny sposób oddziaływała na mnie. Zdało mi się, jakbym wcale nie był w K. Baronowa była ode mnie tak daleko, że ledwie myśl skrzydlata mogła za nią pogonić. Ostatnie przecież słowa rozdrażniły mnie wielce:

— Czyliż i moja przygoda na polowaniu jest tak zabawna, iż zasługuje na szyderskie żarciki?

— Ależ bynajmniej, panie kuzynku — odrzekł dziadek. — Tylko nie uwierzysz, jak to komicznie wygląda, gdy taki młokos, jak ty, śmiesznie się nadyma, iż Bóg dobrotliwy w szczególniejszej swej łasce wydobył go z nieszczęśliwego wypadku. Miałem towarzysza na uniwersytecie. Był to człowiek łagodny i rozsądny. Otóż przypadkiem zaplątał się w jakąś sprawę honorową i chociaż go wszyscy bursze<sup>53</sup> mieli za wielkiego tchórza, postąpił sobie z taką stanowczością i odwagą, iż powszechnie wzbudził uwielbienie. Ale od tego czasu zupełnie się odmienił. Z pilnego i spokojnego młodzieńca stał się przechwałcą i nieznośnym zawiadką. Bawił się, hulał i bił o lada drobnostkę, aż wreszcie senior jednego ze stowarzyszeń uniwersyteckich, które publicznie obraził, wyzwiał go na pojedynek i zabił. Opowiadam ci to kuzynku, ot tak sobie. Możesz myśleć, co ci się podoba. Wracając znów do choroby baronowej...

Pycha, Pojedynek

W tej chwili dało się słyszeć ciche stąpanie po sali i zdało mi się, że żalosne westchnienie rozeszło się w powietrzu.

— Ona tam jest!

Jakaś myśl straszliwa błysnęła mi w głowie.

Dziadek nagle powstał i zawołał głośno:

— Franciszku, czy to ty jesteś?

— Tak, łaskawy panie justycjariuszu — odpowiedział stary za drzwiami.

<sup>52</sup>*fidibus* — złożony kawałek papieru, niekiedy nawoskowany, służący do zapalania fajki. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*bursz* (z niem.) — członek korporacji studenckiej. [przypis edytorski]

— Franciszku — mówił dalej dziadek — zapalcie trochę ognia na kominie i jeśli można, przygotujcie parę filiżanek dobrej herbaty. Diabelnie zimno — zwrócił do mnie mowę — a przy kominku wybornie możemy sobie pogawędzić.

Dziadek drzwi otworzył, poszedłem za nim machinalnie.

— Co tam się dzieje na dole? — zapytał znowu.

— E — odpowiedział Franciszek — nic ważnego nie było, jaśnie pani baronowa znów jest zdrowiuteńka. Miała jakiś sen nieprzyjemny, od którego dostała lekkiego napadu mdłości.

Byłbym wykrzyknął z radości, gdyby mnie nie powstrzymał surowy wzrok dziadka.

— Tak — mówił stary dalej — w gruncie rzeczy byłoby lepiej, gdybyśmy jeszcze parę godzinek przesпали.

— Bądźcie tylko tak dobrzy Franciszku, nie zapomnijcie o herbacie.

— Rozkaz pański, panie justycjariuszu, będzie spełniony — odpowiedział Franciszek i wyszedł z sali, życząc nam dobrej nocy, chociaż koguty już piał.

— Posłuchaj no, kuzynku — rzekł dziadek, wytrząsając fajkę w kominie — jakie to szczęście, że się tak pięknie wywinął i z wilkami, i z fuzjami nabitymi.

Teraz wszystko dobrze zrozumiałem i zawstydzilem się, że dałem dziadkowi powód do postąpienia ze mną jak z niesfornym dzieciakiem.

— Bądź tak dobry, kuzynku — mówił do mnie nazajutrz — zejdź na dół i dowiedz się, jak się miewa baronowa. Zapytaj się tylko panny Adelajdy, a złoży ci pewno biuletyn dokładny.

Łatwo się można domyśleć, z jakim pośpiechem wybiegłem. W chwili jednak, gdy miałem zapukać do przedpokoju baronowej, nagle spotkałem się oko w oko z baronem. Stanął zdziwiony, mierząc mnie przeszywającym wzrokiem.

— Czego pan tu chcesz? — zapytał porywczo.

Chociaż mi serce silnie uderzyło w piersi, odpowiedziałem jednak spokojnie:

— Na zlecenie dziadka przyszedłem dowiedzieć się o zdrowie jaśnie pani.

— Nie było żadnego niebezpieczeństwa. Zwykły atak nerwowy. Teraz śpi lekko i jestem pewny, że zdrowa i rzeźwa zasiądzie z nami do stołu. Powiedz pan to dziadkowi, powiedz.

Baron mówił te słowa z pewnym namiętym pośpiechem, co zdawało mi się wskazywać, że troskliwszym jest o zdrowie żony, niż by to chciał okazać. Chciałem już odejść, gdy nagle baron schwycił mnie za rękę i rzekł, patrząc na mnie płomienistym wzrokiem:

— Mam z tobą do pomówienia, młodzieńcze.

Czyż nie widziałem przed sobą ciężko obrażonego małżonka? Nie należało mi lękać się jakiej sceny, która by z ujmą mego honoru skończyć się mogła? Byłem bezbronny, ale w teże chwili przypomniałem sobie o składanym myśliwskim nożu, który mi dziadek dopiero w K. podarował. Miałem go właśnie przy sobie.

Poszedłem więc za szybko postępującym przede mną baronem, z tym silnym postanowieniem, że wcale życia jego nie będę oszczędzał, jeśliby miał w ubliżający sposób ze mną postępować.

Weszliśmy do pokoju. Baron drzwi za sobą zamknął. Teraz zaczął żywo się przechadzać, założywszy ręce. Potem stanął przede mną i znów powtórzył:

— Chciałem z tobą pomówić, młodzieńcze!

Jakaś szalona śmiałość wstąpiła we mnie, odpowiedziałem więc wyniosłym tonem:

— Spodziewam się, że to będą słowa, których bez obrazu słuchać mogę.

Baron spojrział na mnie zdziwiony, jakby mnie nie rozumiał. Ponury wzrok wlepił w ziemię, a założywszy z tyłu ręce, znów zaczął przechadzać się po pokoju.

Wziął strzelbę, podniósł i włożył w nią stempel, jakby się chciał przekonać, czy jest nabita. Krew mi w żyłach zakipiła, ścisnąłem nóż i zbliżyłem się tuż do barona, aby mu przeszkodzić, jeśli by chciał do mnie mierzyć.

— Śliczna broń — rzekł baron, stawiając fuzję w kącie.

Odstąpiłem parę kroków. Baron poszedł za mną, a trącając mnie w ramię silniej niż to jest zwyczajem, rzekł:

— Muszę ci się wydawać wzburzonym i pomieszanym, panie Teodorze? Tak jest w istocie, od tysiącznych niepokojów na czuwaniu spędzonej nocy. Napad nerwowy mojej

Broń

żony nie miał w sobie nic niebezpiecznego, widzę to dziś dobrze, ale wczoraj... tu, w tym zamku, w którym jakiś ciemny duch jest zaklęty, lękałem się jakiego strasznego wypadku, a zresztą po raz pierwszy w tym zamku zachorowała. I... pan jesteś temu jedynie winien.

— Jak się to stać mogło? Nie domyślam się — odrzekłem spokojnie.

— O — mówił baron dalej — oby to przeklęte pudło rządczyni połamało się na tysiączne kawałki, żebyś był pan... ale nie, nie... Tak powinno było, tak musiało się stać, ja sam wszystkiemu jestem winien. Do mnie należało wtenczas, kiedyś pan zaczął grywać w pokoju mej żony, ostrzec pana o całym stanie rzeczy, o usposobieniu jej umysłu...

Zrobiłem minę, jakbym chciał odpowiedzieć:

— Pozwól mi pan mówić — zawołał baron. — Muszę się naprzód ubezpieczyć przed pośpiesznym pańskim wyrokiem. Będziesz mnie uważał za człowieka dzikiego, nienawidzącego sztuk pięknych. I omylił się, gdyż tylko wzgląd oparty na głębokim przeświadczeniu zmusza mnie do wzbronienia tu, o ile można, przystępu wszelkiej muzyce, co każdy umysł, a zatem i mój, pociąga i wzrusza. Dowiedz się pan, że moja żona choruje właśnie ze zbytniego wzruszenia, które w końcu wszystkie rozkosze życia zatruć może. W tych murach przebywając, zostaje ona ciągle w jakimś podnieconym, rozdrażnionym usposobieniu, które zwykle szybko przemija, albo też niekiedy jest poprzednikiem większej choroby. Zapytasz mnie pan, i nie bez pewnej słuszności, dlaczego tak delikatną kobietę narażam na mieszkanie w tym ponurym miejscu, wśród dzikiej, myśliwskiej wrzawy? Nazwij to pan słabością, jeśli ci się podoba, ale wyznaję, że niepodobna mi jej samej zostawić. Wśród ciągłych obaw, nie byłbym zdolny przedsięwziąć nic ważniejszego, ponieważ straszliwe obrazy różnego rodzaju przypuszczeń prześladowały mnie zarówno w lesie, jak w sali sądowej... Nadto byłem zdania, że dla słabej kobiety takie jak tu pożyte posłuży właśnie jak wzmacniająca kąpiel żelazna. W samej rzeczy wiatr morski, który po swojemu tego dzwoni po sosnowym lesie, stłumione warczenia brytanów, śmiałe i trzeźwe odgłosy rogów myśliwskich, powinny tu mieć pierwszeństwo nad roztkliwiającymi trelami fortepianu, którego żaden mąż nie powinien dotykać, ale pan się uwziąłeś, aby moją żonę systematycznie na śmierć zamęczyć.

Baron wymówił to z pewnym naciskiem, rzucając dzikie spojrzenie. Krew biła mi do głowy, wyciągnęłem ku niemu rękę, chciałem się usprawiedliwić, ale nie dał przyjść do słowa.

— Wiem, co pan chcesz powiedzieć — mówił znów dalej. — Wiem, a jednak potwarzam, żeś pan o mało co mojej żony o śmierć nie przyprowadził. Bynajmniej panu z tego nie robię wyrzutu, ale pojmujesz dobrze, że muszę temu zaradzić. Jednym słowem, doprowadzasz mi pan żonę do egzaltacji swoją grą i śpiewem, a w dodatku, gdy ona się unosi po bezdennym morzu sennych widziadeł, które jak złośliwy czarnoksiężnik wywołujesz swą muzyką, strącasz ją potem w przepaść, opowiadając o strasliwym duchu, który miał cię nagabywać w sali sądowej. Pański dziadek wszystko mi powiedział, ale powtórz mi pan, proszę, coś widział albo nie widział, coś słyszał, czuł, czegoś się domyślał.

Zebrałem myśli i opowiedziałem spokojnie, co zaszło od samego początku do końca. Baron rzucał tylko od czasu do czasu jakie słowo, wyrażając swe zdziwienie. Kiedy doszedłem do tego, że dziadek z pobożną odwagą stawiał czoło nieczystej sile i odpędził ją potężnymi słowami, baron złożył ręce i wznosząc je do nieba, zawołał:

— To opiekuńczy anioł rodziny! Oby w grobie przodków naszych spoczęły jego śmiertelne zwłoki!

Skończyłem.

— Danielu! Danielu, co tu robisz o tej godzinie? — szeptał baron do siebie, przechadzając się po pokoju z założonymi rękami.

— Więcej pan baron nie ma nic do rozkazania? — zapytałem głośno, chcąc się odwalić.

Baron ocknął się, jak z głębokiego snu, ujął życzliwie moją rękę i rzekł:

— Kochany przyjacielu, musisz uratować mi żonę, której mimowolnie tak złą czyniłeś przysługę. Pan tylko sam możesz to uczynić.

Poczułem, że się rumienię, i gdybym miał zwierciadło przed sobą, to pewno bym ujrzał twarz bardzo głupio zakłopotaną. Baron zdawał się cieszyć moim pomieszaniem i długo nie spuszczał ze mnie oka, uśmiechając się szyderczo.

— Jakże mam się wziąć do tego? — wybełkotałem wreszcie z wielką trudnością.

Muzyka, Choroba

— Ależ — przerwał mi baron — nie masz pan tak bardzo niebezpiecznego pacjenta. Teraz ja pragnę korzystać z pańskiego talentu. Ponieważ baronowa raz została wciągnięta w zaczarowane koło pańskiej muzyki, więc byłoby nierozsądkiem, a nawet okrucieństwem nagle wyrwać ją z niego. W wieczornych godzinach będziesz pan zawsze z przyjemnością witany w pokojach mojej żony, tylko bądź łaskaw stopniowo przechodzić do coraz silniejszej muzyki, łącząc rzeczy wesołe z poważnymi, a przy tym i nade wszystko powtarzaj jej pan często opowiadanie o straszącej *przeszkodzie*. Baronowa przyzwyczai się do tego, zapomni, że owa przeszkoda w zamku się znajduje i cała ta historia nie większe na niej czynić będzie wrażenie, jak każda inna cudowna bajeczka, którą by znalazła w jakim romansie lub zajmującej książce o duchach. Uczyni to, kochany przyjacielu.

Duch, Strach

Powiedziawszy to, baron pożegnał mnie. Byłem zgnębiony, upokorzony w głębi swej duszy, uważano mnie tu jako nic nieznaczącego, głupiego chłopca. I ja, szalony, mniemałem, że zazdrość jego piersi rozdziera, a on sam wyprawia mnie do Serafiny, widząc we mnie posłuszne swej woli, bezmyślne narzędzie, którego używa lub które odrzuca według upodobania. Przed kilku minutami lękałem się barona, poczuwając się w głębi serca do winy, ale ta wina dawała mi poczuć życie wyższe, wspanialsze, do którego się piałem. Teraz wszystko czarna noc pochłonęła i widziałem tylko chłopca, który w dziecinnej przewrotności kładł sobie na rozpaloną głowę papierową koronę, uważając ją za prawdziwą, złotą. Pośpieszyłem do dziadka, który już czekał na mnie.

— A cóż to kuzynku, gdzie tak długo bawiłeś? — zawołał na mnie z daleka.

— Rozmawiałem z baronem — odpowiedziałem szybko i cicho, nie śmiejąc spojrzeć dziadkowi w oczy.

— A, do stu katów! — rzekł dziadek, niby zdziwiony — Tego się nie spodziewałem. Zapewne baron wyzwał cię na pojedynek?

Z głośnego śmiechu dziadka poznałem, że i tym razem, jak zwykle, do gruntu mnie przeniknął. Zaciąłem zęby, nie odpowiedziałem ani słówka, nie chcąc narażać się na uszczypliwe docinki, które już igrały na ustach dziadka.

Baronowa ukazała się przy stole w ślicznym, białym ubraniu, świeżością swoją przewyszającym śnieg padający. Wyglądała blada i znużona. Gdy jednak mówiąc swym cichym i melodyjnym głosem, podniosła czarne oczy, wtedy słodkie, tęskne pragnienie błyskało z przyćmionego ich żaru i przelotny rumieniec krasił jej lica liliowe. Była piękniejsza niż kiedykolwiek.

Miłość niespełniona, Gniew

Któż zbada wszystkie szaleństwa młodzieńca z zapaloną głową i sercem? Gorzką nienawiść, jaką powziąłem do barona, przeniósłem na baronową. Wszystko wydało mi się jak świętokradzka jakaś mistyfikacja. Chciałem więc pokazać, że przy zdrowych zmysłach i że mam przenikliwszy wzrok od innych. Jak nadąsane dziecko unikałem baronowej i chowałem się przed ścigającą mnie Adelajdą. Przy stole znalazłem miejsce na samym końcu, między dwoma oficerami, z którymi zacząłem tego popijać. Po obiedzie trąciliśmy jeszcze niejeden kieliszek i jak się to zwykle dzieje w podobnym usposobieniu, byłem nadzwyczaj wesoły i hałaśliwy. Służący podał mi talerz z cukierkami, na których był podpis *od Adelajdy*, a gdy wziąłem jeden z nich, postrzegłem dopisane drobnymi literami: *i Serafina*. Krew zawrzała mi w żyłach. Spojrzałem na Adelajdę; ta, zrobiwszy filuterną minkę, wzięła kieliszek w rękę i lekko ku mnie skłoniła głowę. Prawie mimo woli wyszeptałem po cichu: Serafina. Podniosłem kieliszek i wypilem go jednym haustem. Wzrok mój pobiegł ku niej, postrzegłem, że i ona w tej samej chwili wypróżniła swój kieliszek i stawiała go właśnie na stole. Oczy jej spotkały się z moimi i jakiś zły duch szepnął mi do ucha: — Szalony, wszak ona cię kocha!

Alkohol

Jeden z gości powstał i według północnego zwyczaju wznosił zdrowie pani domu. Kielichy zadzwoniły głośnie wśród wesołej wrzawy. Radość i zwątpienie przejmowały mnie na przemian. Wino rozplomieniło mnie do reszty tak, iż wszystko kręciło się w koło. Zdało mi się, że wobec wszystkich padnę u jej nóg i ducha wyzionę.

— Co panu jest? — to zapytanie sąsiada upamiętało mnie, ale Serafina zniknęła.

Wstaliśmy od stołu. Chciałem zaraz odejść, Adelaida mocno mnie trzymała. Mówiła ze mną o różnych rzeczach. Słuchałem, ale nie rozumiałem ani słówka. Ujęła mnie za obie ręce i z głośnym śmiechem coś do ucha szeptała. Bezwładnością skrepowany, stałem głuchy i niemy. Wiem tylko, że machinalnie wziąłem z rąk Adelaidy kieliszek likieru i wypilem go, że znalazłem się sam przy oknie, potem wybiegłem z sali na schody i podą-

żyłem do lasu. Śnieg padał gęstymi płatami, ponure sosny jęczały wichrem miotane. Jak szalony biegłem po lesie, wykrzykując: hej! ha! Snadź<sup>54</sup> diabeł wyprawiał ze mną swój taniec.

Nie wiem, jak by się te szaleństwa skończyły, gdybym nie usłyszał, że mnie po imieniu wołano. Wypogodziło się już, księżyc jasno przyświecał przez poszarpane chmury; doleciało naszczekiwanie psów. Jakaś dziwna postać zbliżała się do mnie. Był to stary strzelec.

— Hej, hej, kochany panie Teodorze — wołał stary — toć pan zabłądził w tę straszna zawieruchę, a pan justycjariusz od dawna oczekuje pana z wielką niecierpliwością.

Milcząc, poszedłem za strzelcem. Zastałem dziadka pracującego w sądowej sali.

— Dobrze zrobiłeś — rzekł do mnie na samym wejściu. — Bardzo dobrze, żeś się trochę przewietrzył i porządnie ochłodził. Nie pijże tak dużo wina, jesteś do tego jeszcze za młody, to ci szkodzi.

Ani słowa nie odpowiedział dziadkowi, zasiadłem przy stole do pisania.

— Powiedz mi też, kochany kuzynku, czego właściwie chciał baron od ciebie?

Opowiedziałem mu wszystko, dodawszy, iż wcale nie myślę dać się użyć do tej wątpliwej zresztą kuracji, jaką sobie baron zamierzył.

— I nie byłaby możliwa do wykonania — przerwał mi dziadek — ponieważ, mój kuzynku, odjeżdżamy jutro raniuteńko!

I tak się stało. Serafina więcej już nie widziałem.

\*

Zaledwie wróciliśmy do miasta, zaczął się dziadek uskarżać, że więcej niż kiedykolwiek czuje się strudzony uciążliwą jazdą. Posępne milczenie, przerywane często wybuchami złego humoru, było zapowiedzią jego podagrycznych<sup>55</sup> ataków. Pewnego dnia nagle wezwano mnie do niego. Zastałem staruszka tkniętego silnym atakiem, leżał na posłaniu pozbawiony mowy, trzymając w kurczowo ściśniętej dłoni jakiś list zgnieciony. Poznałem pismo rządcy majoratu K... , przecież nie śmiałem przez uszanowanie wyjmować listu z ręki dziadkowi, nie wątpiąc, że wkrótce umrze. Jednakże zanim jeszcze lekarz przyszedł, pulsa uderzyła na nowo. Silna natura siedemdziesięcioletniego starca tym razem pokonała śmierć. Tego samego jeszcze dnia oświadczył lekarz, iż wszelkie niebezpieczeństwo minęło.

Zima była sroższa niż zwykle. Po niej nastąpiła burzliwa wiosna, a ponieważ żadna choroba tyle od pogody nie zawisła<sup>56</sup>, co podagra<sup>57</sup>, więc staruszek przez długi czas nie mógł wstać z łóżka. W tymże czasie złożył wszystkie swoje sprawy, wycofał się z interesów, odstępując justycjariat w inne ręce. Zniknęła więc dla mnie nadzieja, abym kiedykolwiek do K... pojechał.

Dziadek tylko ode mnie przyjmował posługę, ja go pielęgnowałem, moja tylko rozmowa mogła go rozerwać i rozweselić. A chociaż w chwilach wolnych od cierpień w wybornym był humorze i nie zbywało mu na dowcipnych żartach, chociaż przypominał sobie i myśliwskie przygody, a wśród nich wystąpić przecież mogło owe wilczysko, które tak heroicznie zabiłem. Nigdy przecież ani jednym słówkiem nie uczynił wzmianki o naszym pobycie w K... . Zdawał się nie spostrzegać nawet, że tylko przez winne mu uszanowanie wystrzegalem się skierować na to rozmowę.

Ciągle troski i obawy o dziadka usunęły na stronę obraz Serafiny, ale skoro zaczął do zdrowia przychodzić, gdy choroba zupełnie minęła, tym częściej i żywiej przypominały mi się owe chwile spędzone w pokoju baronowej, która ukazała się mym oczom jak świetna gwiazda i niestety zniknęła na zawsze. Pewna jednak okoliczność wzbudziła na nowo dawniejsze cierpienia, przejmując mnie dreszczem, niby zjawisko z tamtego świata. Kiedy pewnego wieczoru otworzyłem pugilares<sup>58</sup>, który nosiłem przy sobie, bawiąc w K...

<sup>54</sup>snadź (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>podagryczny — dotyczący dna moczaniowej, rodzaju zapalenia stawu, zazwyczaj u palucha u stopy. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>nie zawisła (daw.) — nie zależy. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>podagra — dna moczaniowa, rodzaj zapalenia stawu, zazwyczaj u palucha u stopy. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>pugilares (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

Choroba, List

Dar, Krew

, z zawiniętego papieru wypadł mi pukiel ciemnych włosów, związanych białą wstążką, która — od razu to poznałem — należała do Serafyny. Bliżej przypatrując się temu pakietkowi, dostrzegłem ślad kropli krwi. Być może, że Adelajda doręczyła mi tę pamiątkę w chwilach bezprzytomnego szału, który w ostatnich dniach mnie ogarnął, ale co znaczy na niej krew? To każe mi się domyślać czegoś strasznego i ten zakład prawie pasterskiej<sup>59</sup> czułości zmienił się na pamiątkę namiętności, którą okupić musiała krew serdeczna. Była to ta sama wstążka, która po raz pierwszy zbliżyła mnie do Serafyny, przelatując od niej do mnie, jakby w zabawie swawolnej, dziś staje się dla mnie smutnym posłem śmierci zwiastującym. Nie igrać chłopcu z bronią, której niebezpieczeństwa nie poznał.

Wreszcie przestały szumieć wichry wiosenne, lato odzyskało swe prawa i jak w pierw była nieznośna zima, tak teraz z początkiem lipca nastaly mżące gorąca. Dziadek odzyskiwał siły widocznie i tak już czuł się dobrze, iż przeniósł się ze mną do zamiejskiego ogrodu, jak to dawniej zwykł był czynić. Pewnego pogodnego i ciepłego wieczoru siedzieliśmy w wonnej jaśminowej altanie. Dziadek był nadzwyczajnie wesoły, tylko nie występował jak dawniej z docinającą ironią, ale był łagodny, prawie rzewny.

— Nie wierzysz, kuzynku — rzekł do mnie — jak mi dziś błogo. Od wielu lat nie czułem się tak zdrow, jak w tej chwili. Jakieś elektryczne ciepło całego mnie przenika. Byłoby to zapowiedzią rychłej śmierci?

Usiłowałem rozpędzić te smutne myśli.

— Dobrze, dobrze — mówił znów dziadek. — Długo ja przecież na tej ziemi nie zabawię i dlatego winienem ci kuzynku, jeden dług spłacić. Czy pamiętasz tę jesień, kiedyśmy w K... bawili?

Jak błyskawica olśniło mię to zapytanie dziadka i nim zdobyłem się na odpowiedź, on już mówił dalej:

— Bogu widać się tak podobało, abyś tam wystąpił w szczególniejszy sposób i mimowolnie wcisnął się w najgłębsze tajemnice domu. Teraz nadszedł czas, abyś o wszystkim się dowiedział. Często mówiliśmy ze sobą o rzeczy, której domyślałeś się tylko, aleś jej nie rozumiał. Natura przedstawia w życiu ludzkim pewne symboliczne podobieństwo do zmian w porach roku: tak mówią wszyscy, ale ja inaczej rozumiem to, niż wszyscy. Na wiosnę mgły padają, w lecie pary unoszą się w górę, dopiero jesienią czysty eter pozwala nam widzieć jasno oddalone obrazy, nim je byt ziemski pochłonie w zimowej nocy. Sądzę, że w jasnowidzeniu starców okazuje się szczególnie niezbadana siła. Są to jakby dozwolone spojrzenia w błogosławioną dziedzinę, do której ze śmiercią czasową rozpoczyna się pielgrzymka. Jakże jasnymi wydają mi się wszystkie ciemne punkty w stosunkach tego domu, z którym łączyły mnie więzy ściślejsze, niż zwykłego pokrewieństwa. Wszystko wyraźnie stoi przed oczyma mej duszy, a przecież, gdy baczniej się zastanawiam, postrzegam tu coś takiego, czego nie potrafię ci słowami wypowiedzieć, czego niezdolna żadna mowa ludzka wyrazić. Posłuchaj mnie, mój synu, opowiadać ci będę jakby jakąś ciekawą historię, która wydarzyć się mogła. Zachowaj w głębi duszy to przekonanie, iż pełne tajemnicy wydarzenia, w których niepowołany może wziąć udział, zgubić cię mogły! Dziś... wszystko już do przeszłości należy.

Historię majoratu K... , którą mi dziadek opowiedział, wiernie zachowałem w pamięci, tak iż jestem w stanie powtórzyć własnymi jego słowami, zwłaszcza, że mówiąc o sobie zwykle używał trzeciej osoby.

Pewnej burzliwej nocy, w jesieni roku 1760, ogromny huk, jakby się cały obszerny zamek w tysiączne sztuki rozpadał, zbudził ze snu głębokiego strwożonych mieszkańców. W mgnieniu oka wszyscy byli na nogach. Pozapalano światła. Z trwogą w zbladłej twarzy nadleciał zadyszany marszałek dworu, dźwigając pęk kluczy. Ale jakież było wszystkich zdziwienie, gdy w głębokiej ciszy słyhać było tylko szcęk zamków z trudnością się otwierających i odgłos kroków strasznym echem odbijający się wśród pustych korytarzy sal i pokojów, a nigdzie najmniejszego śladu zniszczenia. Straszne przecucie ogarnęło marszałka. Pobiegł do sali rycerskiej, w której bocznym gabinecie zwykle sypiał baron Roderyk K., gdy się oddawał astronomicznym pracom. Z owego gabinetu do astronomicznej wieży prowadziło wąskie przejście. Skoro tylko Daniel (tak się zwał marszałek) drzwi od wieży uchylił, wiatr, wyjąc straszliwie, zasypał go gruzem i ułamkami

Starość, Proroctwo

Historia

Śmierć

<sup>59</sup>pasterski — tu: sielankowy. [przypis edytorski]

cegły. Z przerażenia w tył się rzucił. Świece wypadły mu z ręki i sycząc, pogasły. Wśród ciemności zawołał strasznym głosem:

— O, Boże wielki, baron został przywalony!

W tej chwili dały się słyszeć jęki wychodzące z sypialnego pokoju barona. Daniel zawołał na służbę, aby podniosła trupa swego pana. Znalaziono go zupełnie ubranego, nawet bogaciej niż zwykle. Z twarzą poważną i niezmienioną siedział w wielkim, ozdobnym, poręczowym krześle, jakby spoczywał po ciężkiej pracy.

Gdy się rozwidniło, postrzeżono, że szczyt wieży zawalił się. Potężne kwadratowe płyty kamienne przebiły sufit i podłogę astronomicznego pokoju i wraz z wystającą teraz ogromną belką padły na dolne sklepienie, druzgocząc część muru zamkowego i owo wąskie przejście. Ani kroku nie można było uczynić teraz za drzwi z sali prowadzące, bez narażenia się na wpadnięcie w przepaść głęboką najmniej na stóp osiemdziesiąt<sup>60</sup>.

Stary baron przepowiedział śmierć swoją, oznaczając niemal jej godzinę i zawiadomił o tym swoich synów. Toteż zaraz nazajutrz przyjechał Wolfgang von K., najstarszy syn zmarłego, a tym samym dziedzic majoratu. Polegając na przecuciu swego starego ojca, skoro tylko odebrał od niego fatalny list, porzucił natychmiast Wiedeń, w którym czasowo przebywał i pośpieszył do K. Marszałek domu kazał obić kirem wielką salę i złożyć starego barona na wspaniałym łożu, w tym samym ubraniu, w jakim go martwym znaleziono. Wkoło poustawiano wysokie srebrne lichtarze z pozapalonymi świecami. Milcząc, wszedł Wolfgang na schody, udał się wprost do sali i stanął tuż przy zwłokach ojcowskich, a założywszy ręce na piersi, ze ściągniętymi brwiami wpatrywał się ponuro w blade oblicze nieboszczyka. Podobny był do posągu: ani jedna łza nie zwilżyła mu oka. Wreszcie z kurczowym prawie wysileniem wznosząc prawą rękę nad trupem, zawołał przytłumionym głosem: Czy gwiazdy cię zmusiły, żeś zabił szczęście syna, którego kochałeś? Rozłożywszy ręce i cofnąwszy się nieco, wznosił oczy do góry i szeptał rozrzewniony: — Biedny, obłąkany starcze, kuglarska zabawka ze swymi dziecinnymi złudzeniami już cię więcej nie mami. Widzisz teraz jasno, że nędzna posiadłość ziemska nie ma nic wspólnego ze światem poza gwiazdami. Jakaż wola, jakaż siła rozciąga się poza grób?

List

Znów milczał baron kilka chwil, potem żywo zawołał: — Nie, nie, twój upiór nie powinien mnie pozbawić części ziemskiego szczęścia, które według swego mniemania zniszczyłeś.

Rzekłszy to, wyrwał z kieszeni papier złożony i wzięwszy go w dwa palce, uniósł nad jedną ze świec, które trupa otaczały. Papier trzymany nad świecą buchnął wysoko płomieniem, który odbił się i zadrgał na twarzy nieboszczyka tak, iż zdawało się, że poruszyły się jego usta i szeptały jakieś niedosłyszane wyrazy. Groza i przestach padły na służbę opodal stojącą. Baron tymczasem spokojnie dokonywał swego dzieła, a gdy mu kawałek palącego się papieru upadł na podłogę, troskliwie przydeptał go nogą. Potem rzucił raz jeszcze posępne spojrzenie na zwłoki ojca i szybkim krokiem opuścił salę.

Nazajutrz zawiadomił Daniel barona o zapadłej wieży i rozwodził się obszernymi słowy nad tym, co zaszło owej nocy, kiedy stary baron życie zakończył, dodając, iż należałoby zaraz wieżę do dawnego przywrócić stanu, ponieważ coraz bardziej się wali, grożąc niebezpieczeństwem całemu zamkowi, w którym chociaż nic uszkodzone, jednak mocno wszystko nadwyrężone zostało.

— Wieżę odbudować? — przerwał baron staremu słudze, rzucając nań piorunujące spojrzenie. — Nie, nigdy! Czy ty myślisz, stary, że ot tak sobie, bez żadnego powodu wieża się zawaliła? A jeśli sam ojciec życzył sobie, aby zniszczone zostało to miejsce, w którym oddawał się niedorzecznemu gwiazdźiarstwu<sup>61</sup>. Jeśli sam poczynił przygotowania, aby się zapadło całe wnętrze wieży, skoro tego zechce? Niechże będzie, jak chciał. Co do mnie, niech i cały zamek pójdzie w ruinę. Czy wy myślicie, że ja mieszkać będę w tej ponurej, sowej jamie? Nie, naśladować raczej będę tego z mych przodków, który w zielonej dolinie położył fundament do nowego zamku i wszystko do tego przygotował.

— Tak więc — odezwał się Daniel na wpół głośno — to i starzy słudzy będą musieli pójść z torbami.

Sługa, Łaska

Na to odparł baron:

<sup>60</sup>osiemdziesiąt stóp — ok. 24 m. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>gwiazdźiarstwo (daw.) — astrologia. [przypis edytorski]



— Że bezsilnych, powłóczących nogami starców nie wezmę do usług, to się rozumie samo przez się, ale wyganiać nikogo nie będę. Gdy nie będziecie mieli nic do roboty, będzie wam smakował chleb łaskawy.

— Ja? — zawołał stary z boleścią — Ja mam być marszałkiem i żadnej służby nie pełnić?

Na to baron, który już chciał wyjść z sali, odwrócił się do starego i zacerwieniony z gniewu, z zaciśniętą pięścią, przyskoczył do niego i krzyknął straszliwym głosem:

— Ty stary, obłudny łotrze, któryś z moim obalamuconym<sup>62</sup> ojcem sam jeden na górze się zamykał, któryś w jego serce wpił się jak wampir i być może zbrodniczo korzystał z jego szaleństwa, któryś wpływał na jego piekielne postanowienie, co mnie rzuciło na kraniec przepaści — ciebie powinienem jak psa parszywego strącić na dół.

Złakł się stary strasznej mowy i padł na kolana tuż przed baronem. I stało się, że baron, nie posiadając się już w szalonym gniewie, w którym zwykle bezwiednie poruszenia ciała biegną za myślami domawiając ostatnich słów, tak silnie uderzył nogą w piersi starego, iż ten z głuchym jękiem padł na ziemię. Z trudnością podniósł się stary na nogi, a wydając szczególniejszy głos, podobny do jęku ranionego śmiertelnie zwierza, rzucił na barona spojrzenie pełne wściekłości i zemsty.

Worek z pieniędzmi, który mu baron odchodząc rzucił, zostawił nietknięty na podłodze.

Tymczasem krewni rodziny znajdujący się w okolicy zebrali się w zamku. Stary pan został pochowany uroczysto w podziemiach kościoła w Her... . Po ceremonii, młody dziedzic okazał się bardzo zadowolonym ze schedy<sup>63</sup>. Starannie sprawdził rachunki i dochody majątności z justycjariuszem, którego w urzędzie zatwierdził — i którego obdarzył całem zaufaniem. Obmyślał z nim razem sposoby odbudowania zamku. Justycjariusz V. był przekonany, że stary baron nie mógł wydać wszystkich swoich dochodów, a ponieważ w skrzyni i portfelu znaleziono zaledwie parę tysięcy dukatów, przypuszczał, że musiały być jakieś pieniądze ukryte w którejś części zamku. Nikt nie mógł lepiej niż Daniel o tym wiedzieć, ale ten w swojej uporczywości czekał zapewne, aż go zapytają. Baron lękał się, że Daniel, którego on tak surowo obraził, nie zechce ujawnić tajemnicy raczej przez zemstę niż chciwość. Starzec bowiem był bezdzietny i myślał tylko o tym, aby żywot zakończyć w zamku. I na cóż mógłby zużytkować te znaczniejsze sumy? Baron opowiedział V., co się stało pomiędzy nim a Danielem — i powiedział mu, że do tego czynu gwałtownego zmusiło go przekonanie, powzięte na zasadzie licznych doniesień, że Daniel podtrzymywał w umyśle starego barona niewyjaśnioną antypatię do swoich dzieci. Justycjariusz oświadczył, że te wiadomości były całkowicie błędne — i podjął się wypytać Daniela, czy nie zna gdzie skarbu ukrytego w zamku.

Przedsięwzięcie nie było wcale trudne, gdyż zaledwie justycjariusz mu powiedział:

— Jak to być może Danielu, że stary pan tak mało gotówki zostawił?

Odpowiedział Daniel ze znaczącym uśmiechem:

— Czy mówisz pan o tych nędznych kilku talarach, któreście w małych skrzyniach znaleźli? Reszta leży w sklepie<sup>64</sup> obok sypialni starego jaśnie pana. Ale lepsza część — mówił dalej marszałek, usta zaś jego wykrzywiły się strasznym grymasem, a oczy krwawym połyskały ogniem — lepsza część, wiele tysięcy złotych sztuk, leży na dole gruzem zasypana.

Justycjariusz przyzwał natychmiast barona. Udano się do gabinetu sypialnego. W jednym jego kącie odsunął Daniel gruzy przy ścianie i ukazał się zamek.

Gdy baron chciwym wzrokiem na zamek spoglądał, Daniel z wolna robił przygotowanie, próbując kluczy z wielkiego pęku, który z niemiłym brzękiem z kieszeni wyciągał. Potem wyprostował się i szydlerczo spojrzął na barona, który nachylił się, aby lepiej zamek obejrzeć.

Ze śmiertelną bladością w twarzy rzekł Daniel drżącym głosem:

— Jeśli psem jestem, jaśnie panie baronie, to też jak pies dochowuję wierności.

Powiedziawszy te słowa, podał klucz baronowi, który z gorączkowym pośpiechem wyrwał mu go z ręki i drzwi bardzo łatwo otworzył. Weszliśmy do niskiego, niewielkiego

<sup>62</sup>obalamucony — oszukany, wprowadzony w błąd. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>scheda — dziedzictwo. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>sklep (daw.) — piwnica. [przypis edytorski]

sklepu, w którym stała żelazna szkatuła z odchylonym wiekiem. Na workach ze złotem leżała kartka, na której stary baron wypisał staroświeckimi, wielkimi literami:

„Sto pięćdziesiąt tysięcy talarów w starych frydrychsdorach<sup>65</sup>, oszczędzonych z dochodów majoratu K. Suma ta przeznaczona jest na budowę nowego zamku. Nadto posiadacz majoratu, który po mnie nastąpi, winien z tych pieniędzy na najwyższym wzgórzu, na wschód od wieży, wznieść latarnię morską dla żeglarzy i zapalać ją co noc”.

„K... w nocy Św. Michała 1760 roku.  
Roderyk baron K...”

Dopiero kiedy baron podniósł worek jeden po drugim i na powrót włożył do szkatuły, rozkoszując się brzękiem złota, obrócił się nagle do starego marszałka, dziękował mu za okazaną wierność i upewniał, że tylko wskutek kłamliwych plotek tak źle z początku z nim postąpił, dodając przy tym, iż nie tylko ma pozostać w zamku, ale pełnić służbę jako marszałek, z podwójną pensją.

— Winienem cię dobrze wynagrodzić. Chcesz złota, to weź sobie jeden z tych worków!

Rzekłszy to, baron stał ze spuszczonego wzrokiem przed starym marszałkiem, potem jeszcze raz przystąpił do szkatuły i porządkował worki.

Marszałkowi krew na twarz wystąpiła i wydał ten straszny głos, o którym baron justycjariuszowi wspominał, że podobny był do jęku zranionego zwierza. Justycjariusz zadrżał, bo to, co przez zęby marszałek wymawiał, zdawało się brzmieć:

— Krew za złoto!

Baron, zagłębiając się w swym skarbie, niczego się nie domyślał. Danielem, gdy patrzył na to, kurczowo wstrząsnął dreszczem. Z pochyloną przecieź głową, w pokornej postawie zbliżył się do barona, pocałował go w rękę i rzekł płaczącym głosem:

— Ach, mój jasny panie, co mnie biednemu, bezdzietnemu starcowi po pieniądzach! Za to podwójną pensję przyjmuję z radością. Służyć będę chętnie i żwawo.

Baron, który niewiele zważał na słowa starego sługi, spuścił teraz ciężkie wieko szkatuły, które z takim hukiem się zapadło, że cały sklep zadrżał. Potem zamknął ją, z wielką troskliwością wydobyl klucz i rzekł:

— Dobrze już, dobrze, mój stary! Ale wspomniałeś także — mówił baron dalej, wszedłszy już do sali — o wielkich pieniądzach, które się mają znajdować pod zwaliskami wieży?

Stary, milcząc, przystąpił do wielkich drzwi i otworzył zamek z wielką trudnością. Lecz zaledwie uchylił podwoi, wiatr wionął do sali gęstymi plachtami śniegu. Spłoszony kruk, kracząc, zerwał się do lotu, uderzył czarnymi skrzydłami w okno, a potem, dostawszy się do drzwi, runął w przepaść... Baron wyszedł na korytarz, a rzuciwszy okiem w głąb, zadrżał i cofnął się.

— Straszny widok, aż kręci się w głowie — wyrzekł z cicha i jak zemdlony padł na ręce justycjariusza, ale wnet przyszedł do siebie i zapytał starego, rzucając nań przenikliwe spojrzenie:

— No, a cóż tam na dole?...

Stary tymczasem zamykał drzwi na powrót, przyciskając je z wielkim wysileniem i niemało się nastękał i najęczał, nim z zardzewiałego zamku ogromny klucz wydobyl. Skończywszy wreszcie swoją robotę, odwrócił się do barona, a wywijając wielkim kluczem, rzekł ze szczególniejszym uśmiechem:

— Tak, tam na dole leżą tysiące tysięcy. Wszystkie piękne instrumenty nieboszczyka pana: teleskopy, globy, lunety...

— Ależ pieniądze, pieniądze — przerwał mu baron. — Wszak mówiłeś o sztukach złota?

— Ja myślałem tylko o tych przedmiotach, które wiele tysięcy złotych sztuk kosztowały.

Więcej niepodobna było ze starego wydobyć.

<sup>65</sup>*frydrychsdor* — (z fr. *le Frédéric d'or*) — złota moneta pruska, będąca w obiegu w okresie 1741–1855. [przypis edytorski]

Teraz zdawał się baron być zadowolony. Raz przecie osiągnął środki, których potrzebował, aby najulubieńszy swój projekt mógł przywieść do skutku, to jest wystawić nowy, wspaniały zamek. V. sądził wprawdzie, że według woli nieboszczyka mogła być mowa tylko o wyrestaurowaniu, jakby o zupełnym przebudowaniu starego zamku, bo istotnie każdy nowy gmach niełatwo dorównałby wspaniałemu ogromowi i poważnej architekturze starego zamku. Baron przecież nie odstąpił od swego zamysłu, utrzymując, że w podobnego rodzaju postanowieniach, jeśli wyraźnie aktem erekcyjnym<sup>66</sup> nie zostały stwierdzone, wola nieboszczyka ustąpić musi... Dał przy tym do zrozumienia, że obowiązkiem jego jest mieszkanie w K... o tyle pięknym uczynić, o ile na to pozwala klimat, grunt i inne okoliczności, ponieważ zamierza w krótkim czasie sprowadzić jako najukochańszą żonę, istotę godną pod tym względem największych ofiar.

Tajemniczy sposób, z jakim baron wyrażał się o małżeńskim swym związku, być może zawartym już skrycie, przeciął justycjariuszowi wszelkie dalsze zapytania. Uspokoili go przecież projekty barona, bo w nich znalazło wytłumaczenie owo nienasycone pragnienie bogactwa, które nie było żadną chciwością, ale raczej chęcią przypodobania się ukochanej osobie, która być może dla niego wyrzec się musiała pięknej ojczyzny. A jakże nie miał go uważać za skąpca, a przynajmniej niepomiarkowanego chciwca, gdy ten, nurzając się w złocie i rozkoszując widokiem starych frydrychsdorów, szeptał jeszcze po cichu do siebie: — Ten stary hulaj musiał ukryć przede mną skarb daleko większy, ale na przyszłą wiosnę każę w moich oczach całą wieżę rozwalić.

Wezwani architekci przybyli. Długo się z nimi baron naradzał, jak przystąpić do nowej budowy. Odrzucał jedne rysunki po drugich. Żaden plan nie wydał mu się dość bogatym i wspaniałym. Wreszcie sam zaczął rysować i zajęty tą pracą, która, być może, ciągle mu przed oczy nasuwała czarujące obrazy szczęśliwej przyszłości, stał się weselszym i pomimo znużenia w wyborzym był humorze, który wnet udzielił się całemu otoczeniu. Hojność barona i jego wystawność usuwały ciężące na nim podejrzenie chciwości. Nawet Daniel zdawał się zapominać o wyrządzonej mu krzywdzie. Zachowywał się cicho i pokornie względem barona, który go często, z powodu ukrytych skarbów, nieufnym ścigał okiem. Najwięcej wszakże dziwiło wszystkich, że stary z każdym dniem stawał się widocznie młodszym. Zapewne żał po starym panu tak go zrazu zgnębił. Teraz zaś czy to pokonał swą boleść, czy też, że nie potrzebował chłodnych nocy bezsennie przepędzać, a miał stół lepszy i wino do wyboru. Dość, że z pochylonego starca przemienił się w krzepkiego mężczyznę z rumianymi policzkami, chodził rażno i śmiał się głośno, gdy z jakim żarciem wystąpił.

Wesołe życie w K. przerwało zjawienie się człowieka, o którym dawniej należało pomyśleć. Tym człowiekiem był Hubert, młodszy brat Wolfganga, który na jego widok zbladł jak trup i głośno zawołał:

— Nieszczęśliwy, czego tu chcesz? — Hubert rzucił się w ramiona bratu, ale ten nie odwzajemnił mu się uściskiem. Porwał go tylko za rękę i pociągnął za sobą na górę, do najodleglejszego pokoju, i zamknął się z nim potajemnie. Kilka godzin rozmawiali z sobą, w końcu wyszedł Hubert z pomieszana głową i zawołał o swoje konie. Justycjariusz zaszedł mu drogę. Hubert chciał go minąć. V. wiedziony przecuciem, że zaszło nieporozumienie między braćmi, które tu skończyć się powinno, prosił go, aby na kilka godzin się zatrzymał przynajmniej. W te samej chwili nadbiegł baron, wołając głośno:

— Pozostań, Hubercie. Namyślisz się jeszcze.

Wypogodziła się twarz Huberta. Zmienił zamiar odjazdu. Szybko zdjął bogate futro i rzucił je służącemu, podał prawą rękę justycjariuszowi i wchodząc do pokoju mówił z szyderczym uśmiechem:

— Pan majoratu raczy mnie łaskawie znieść.

Justycjariusz sądził, iż teraz najwłaściwiej załagodzić kłótnię braterską, bo ta, gdyby się rozłączono bez pojednania, zwiększałyby się jeszcze bardziej. Hubert wziął stalowe obcęgi, które stały przy kominię i potrącając nimi jakiś sękaty, wilgotny kawał drzewa, aby się lepiej rozpalil, tak mówił do V.:

<sup>66</sup>aktem erekcyjny (z łac.) — akt założycielski. [przypis edytorski]

— Widzisz więc, panie justycjariuszu, iż jestem człowiek uległy, zdolny do wszelkiego rodzaju posług domowych. Ale Wolfgang pełen jest dziwacznych przesądów, a przy tym straszny z niego chciwiec.

V. zrozumiał, że nie należy mieszać się pomiędzy braci, zwłaszcza, iż wyraźnie to pokazywała twarz Wolfganga, jego obejście się, jego głos zdradzający człowieka miotanego namiętnościami.

Późnym dopiero wieczorem w interesach majoratu udał się justycjariusz do barona. Zastał go w domu. Był wzburzony cały, z założonymi w tył rękami przechadzał się wielkim krokiem po pokoju. Sporo czasu upłynęło, nim spostrzegł justycjariusza. Uściskał mu rękę i smutnie patrząc mu w oczy, rzekł:

— Mój brat przyjechał! Wiem — mówił dalej, gdy V. chciał mu odpowiedzieć — wiem, co mi chcesz powiedzieć. Ach! Nic nie wiesz, nie wiesz, że mój nieszczęśliwy brat (a nazywam go nieszczęśliwym dlatego, że jak zły duch, zawsze staje mi na drodze i pokój mi burzy) od czasu, gdy majorat został ustanowiony, prześladowuje mnie swoją nienawiścią. Zazdrości mi majątku, który w jego ręku rozwałby się jak plewy. Nie ma większego marnotrawcy. Jego długi przewyższają o wiele wartość połowy majątku w Kurlandii, jaka na niego przypada. Ścigany od wierzycieli<sup>67</sup> przybiega tu i żebrze o pieniądze...

— A brat rodzony mu odmawia... — chciał dodać V., ale mu baron przeszkodził, bo puściwszy jego rękę, cofnął się o krok i zawołał głośno z pośpiechem:

— Wstrzymaj się pan! Tak, odmawiam mu. Z dochodów majoratu nie chcę i nie mogę ani grosza zmarnować! Ale posłuchaj no pan, jaką przed kilku godzinami uczyniłem daremnie propozycję temu szaleńcowi, a potem osądź, czy dopełniłem swego obowiązku. Majątek nasz w Kurlandii, jak panu wiadomo, jest bardzo znaczny. Otóż chciałem się zrzec przypadającej na mnie połowy, ale nie na korzyść Huberta, tylko jego rodziny. Hubert ożenił się w Kurlandii z piękną, ubogą panią. Obdarzyła go dziećmi i cierpi z nimi niedostatek. Dobra miały być administrowane w ten sposób, iż z dochodów wyznaczone byłyby pieniądze potrzebne na utrzymanie domu, a wierzyciele przez układy byłiby zaspokojeni. Ale co go obchodzą kłopoty domowe, co go obchodzi żona i dzieci! Gotówki chce mu się koniecznie i to niemałej, aby ją mógł co rychlej roztrwonić z niedarowaną lekkomyślnością. Jakiś demon wydał mu tajemnicę o stu pięćdziesięciu tysiącach talarów. Dlatego szaleniec domaga się połowy tej sumy, utrzymując, że te pieniądze są majątkiem oddzielnym, nie należącym do majoratu. Muszę i powinienem mu odmówić, ale cierpię mocno, że on czyha na moją zgubę.

Na próżno V. silił się, aby baronowi wybić z głowy owo podejrzenie względem brata, ale nie będąc wtajemniczony w bliższe między braćmi stosunki, wspierał się tylko na ogólnych, moralnych, dość powierzchownych pobudkach, toteż nie dopiął celu. Baron dał mu polecenie, aby rozmówił się z nienawistnym, a chciwym na pieniądze bratem. V. wziął się do rzeczy z największą, na jaką się mógł zdobyć, ostrożnością i niemało się ucieszył, gdy w końcu Hubert mu powiedział:

— Niech będzie i tak: przyjmuję propozycję właściciela majoratu, ale pod tym warunkiem, żeby mi zaraz wyliczył tysiąc frydrychsdorów, ponieważ w tej chwili jestem tak przez wierzycieli ściśnięty, iż cześć i dobre imię na zawsze utracić mogę. Nadto pozwolili mi baron, iż na przyszłość, przynajmniej czas jakiś mieszkać będę w K... przy moim dobrym braciszku.

— Nigdy! — krzyknął baron, gdy mu V. przyniósł tę propozycję — nigdy na to nie przystanę, aby Hubert jedną minutę w moim domu przebywał, gdy żonę sprowadzę. Idź, mój drogi, do tego burzyciela pokoju i powiedz mu, że nie tysiąc, ale dwa tysiące frydrychsdorów otrzyma ode mnie, nie jako zaliczenie, ale jako podarunek, byle tylko co żywo<sup>68</sup> stąd się wynosił.

V. dowiedział się teraz po raz pierwszy, że baron bez wiedzy ojca ożenił się i że w tym małżeństwie musi być przyczyna niezgody braterskiej.

Hubert słuchał V. dumnie i spokojnie, a gdy ten skończył, rzekł ponurym głosem:

— Namyślę się. Tymczasem przez kilka dni tu zabawię.

<sup>67</sup>od wierzycieli — dziś popr.: przez wierzycieli. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>co żywo (daw.) — jak najszybciej. [przypis edytorski]

V. starał się przekonać Huberta, iż baron w samej rzeczy wszystko czyni, aby o ile możliwości wynagrodzić go ze swego osobistego majątku. Z tego powodu Hubert nie ma się o co żalić na niego, jeśli nie chce powiedzieć, że każda instytucja sprzyjająca pierwotnym dzieciom, a inne na uboczu zostawiająca, zawiera w sobie coś nienawistnego.

Hubert rozpiął kamizelkę od góry do dołu jak człowiek, który chce ulżyć uciśnionej piersi, zanurzył jedną rękę w żabotach<sup>69</sup>, a drugą ujął się pod boki i wykręciwszy się na jednej nodze jak w tańcu, rzekł:

— Co jest nienawistnego, zrodzić mogła tylko nienawiść... — a potem zaśmiawszy się szyderczo, dodał: — Jakże łaskawym jest dziecię majoratu, iż z biednym żebrakiem raczy się dzielić swymi pieniędzmi.

Jakby na umartwienie brata, Hubert usadowił się na dłuższy pobyt w pokojach, które mu wyznaczone zostały w bocznym pawilonie. Zauważono, iż często długie miał rozmowy ze starym marszałkiem, który nawet chodził z nim niekiedy na polowanie na wilki. Rzadko się pokazywał i widocznie unikał spotkania się z bratem sam na sam, co właśnie temu ostatniemu było bardzo na rękę. V. poznał dobrze, jak przykry był podobny stosunek między braćmi, przekonał się także, jak niezdolny był sposób postępowania Huberta we wszystkim, co mówił lub czynił. Pojmował teraz przestrach barona, jaki ogarnął go za przyjazdem brata.

Pewnego razu V. sam jeden, otoczony aktami, siedział w sali sądowej, gdy wszedł Hubert poważniejszy niż zwykle i rzekł prawie smutnym głosem:

— Przyjmuję ostatnią propozycję brata: postaraj się pan, abym dwa tysiące frydrychdorów jeszcze dziś mógł otrzymać, gdyż w nocy odjeżdżam konno... sam jeden...

— Z pieniędzmi? — zapytał V.

— Masz pan słuszność — odrzekł Hubert — wiem, co chcesz powiedzieć..., wielki to ciężar. Lepiej więc daj mi je pan w wekslu<sup>70</sup> na Izaaka Lazarusa w K. Dziś jeszcze tam jadę. Coś mnie stąd widocznie wypędza. Stary musiał tu zakląć jakieś złe duchy.

— Czy mówisz, panie baronie, o świętej pamięci ojcu swoim? — zapytał V. poważnie.

Usta Huberta zdrząły, schwycił się za poręcz krzesła, bo inaczej by upadł. Wkrótce jednak oprzytomniał i zawołał:

— Dziś zatem... panie justycjariuszu!.. — udał się nie bez wysilenia ku drzwiom i wyszedł.

— Przekonał się, że tu ludzić się nie można, że nic nie poradzi przeciw nieugiętej mej woli... — mówił baron, gdy mu justycjariusz dawał do podpisania weksel.

Wielki ciężar spadł mu z piersi, gdy się dowiedział o wyjeździe nienawistnego brata, od dawna też nie był tak wesoły przy wieczerzy. Hubert kazał przeprosić, że nie przyjdzie do stołu, nikt jego braku nie poczuł.

V. mieszkał w jednym z oddalonych pokojów, których okna wychodziły na podwórze zamkowe. W nocy nagle się przebudził i zdało mu się, że jakiś głuchy jęk sen mu przerwał. Na próżno ucha nadstawał: było głucho jak w grobie. Ów więc głos, co mu sen przerwał, widocznie był złudzeniem. Z tym wszystkim jakaś zgroza i przestrach go ogarnęły tak, iż zasnąć nie mógł. Wstał zatem i wyjrzał oknem. Po jakimś czasie ujrzał, jak się brama otworzyła i jakaś postać z zapaloną świecą szła przez podwórze zamkowe. I widział, jak ta postać otwierała drzwi od stajni, weszła do niej i wkrótce wyprowadziła osiodłanego konia. Teraz wystąpiła z ciemności druga postać, w futrze z lisią czapką na głowie. V. rozpoznał Huberta, który przez chwilę z Danielem bardzo żywo rozmawiał, a potem odszedł. Daniel zaprowadził na powrót konia do stajni, zamknął ją, jak również bramę zamkową i wrócił się przez podwórze tą samą drogą, co przyszedł. Hubert chciał odjechać, a potem rozmyślił się widocznie. Ale i to nie ulegało wątpliwości, że Hubert zostawał w jakichś podejrzanym stosunkach ze starym marszałkiem. V. z niecierpliwością wyglądał poranka, aby zawiadomić barona o nocnym wydarzeniu. W istocie należało się mieć na baczności. Hubert widocznie knuł jakieś zamiary. V. już to wczoraj zauważył w jego pomieszanej twarzy.

Ucieczka, Podstęp

<sup>69</sup>żabot — ozdoba za zmarszczonej tkaniny. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>weksel — dokument zobowiązujący do zapłaty określonej sumy pieniędzy w określonym terminie. [przypis edytorski]

Nazajutrz o godzinie, w której baron zwykł wstawać, V. nagle usłyszał bieganie tam i na powrót, łomot zamykanych i otwieranych drzwi, jakieś przerywane rozmowy i krzyki. Wyszedłszy ze swego mieszkania, spotykał wszędzie wybladłych ze strachu służących, którzy nie zważając na niego, wchodzili i schodzili ze schodów i biegali po wszystkich pokojach. Wreszcie dowiedział się, że baron znikł, że od godziny nigdzie go odszukać nie można.

W przytomności<sup>71</sup> strzelca udał się wczoraj na spoczynek, musiał więc wstać i wydzalić się w szlafroku i pantoflach, z lichtarzem w ręku, gdyż właśnie tych rzeczy braknie. V., smutnym przecuciem wiedziony, pobiegł do fatalnej sali, której boczny gabinet Wolfgang tak samo, jak jego ojciec, wybrał sobie na sypialnię. Drzwi prowadzące do wieży były otwarte.

Przerażony V. zawołał wielkim głosem:

— Tam w głębi leży baron zdruzgotany!

I tak było w istocie. Śniegu napadało tyle, że patrząc z góry można było wśród kamieni dostrzec tylko wystające skostniałe ramię nieszczęśliwego... Wiele godzin upłynęło, nim robotnicy zdołali z narażeniem na utratę życia spuścić się na dół po związanych drabinach i linami zwłoki wyciągnąć.

W śmiertelnych wysileniach schwycił baron lichtarz srebrny i jeszcze go mocno trzymał w zaciśniętej ręce, która jedynie pozostała nieuszkodzoną. Inne zaś części ciała przez uderzenie o ostre kamienie były w najokropniejszy sposób pokaleczone.

Z rozpaczą w bladej twarzy przybiegł Hubert, gdy wydobyto zwłoki, wniesiono je do sali i złożono na tym samym stole, na którym przed niedawnym czasem leżały zwłoki starego Roderyka. Na ten straszny widok Hubert runął na ziemię, jęcząc boleśnie:

— O bracie, mój biedny bracie! Nie, nigdy tego nie pragnął od szatanów, którzy mnie opanowali.

V. zadrżał na tę dwuznaczną mowę. Zdało mu się, że w Hubercie widzi mordercę brata.

Hubert zemdlął. Musiano go zanieść do łóżka, ale wkrótce z niego powstał, używszy pokrzepiających środków. Blady, smutkiem znękany, z na wpół przygasłymi oczami wszedł do pokoju justycjariusza, a nie mogąc z osłabienia utrzymać się na nogach, usiadł w fotelu i mówił:

— Życzyłem bratu śmierci, ponieważ ojciec przez niebaczne ustanowienie majoratu wyznaczył mu najlepszą część dziedzictwa: śmierć go spotkała w tak okropny sposób. Jestem panem majoratu, ale serce moje rozdarte, nie mogę być i nie będę nigdy szczęśliwy. Potwierdzam pana w urzędzie, otrzymasz nieograniczone pełnomocnictwo co do zarządu majoratem. Niepodobna, abym w nim mieszkał.

Hubert wyszedł z pokoju i w kilka godzin był już na drodze wiodącej do K.

Zdaje się, że nieszczęśliwy Wolfgang wstał w nocy i chciał się udać do sąsiedniego gabinetu, w którym urządził bibliotekę. Będąc sennym, pomylił się co do drzwi, postąpił naprzód kilka kroków i runął w przepaść. W tym wyjaśnieniu straszego wypadku jest coś jakby naciąganego. Jeśli baron nie mógł spać i chciał sobie przynieść książkę z biblioteki, to wyraźnie nie był zaspany, ale i to znów prawda, że mógł się pomylić i zamiast od biblioteki otworzył drzwi od wieży. Ale te ostatnie były mocno zamknięte i trzeba było użyć niemałej siły, chcąc je otworzyć.

— Ach, panie justycjariuszu — zawołał strzelec barona, gdy V. przed zebraną służbą rozwijał swoje wątpliwości. — Panie justycjariuszu, tak się stać nie mogło.

— A jakże inaczej? — zapytał V.

Franciszek był to poczciwy i wierny chłopak, który z żalu za swoim panem chciał się rzucić do grobu. Zagadnięty tak przez justycjariusza odpowiedział, że w obecności wszystkich nie chce mówić, ale na osobności powie panu V., co mu się zdaje. V. dowiedział się wtedy, że baron często z Franciszkiem rozmawiał o wielkim skarbie, który tam na dole ma być przywalony, że często, jakby od złego ducha nawiedzony, w nocy do owych drzwi przychodził, od których klucz musiał mu Daniel oddać, otwierał je i spoglądał w głąb z pożądliwością owych mniemanych bogactw. Zapewne tak samo się stało i owej nieszczęśliwej nocy, że baron po odejściu strzelca udał się do wieży, tam dostał zawrotu

<sup>71</sup>w przytomności (daw.) — w obecności. [przypis edytorski]

głowy i śmierć znalazł w przepaści. Daniel, którego straszny ów wypadek wielce, zdaje się, wzruszył, wnosił, aby owe niebezpieczne drzwi raz zamurowano, co też wkrótce nastąpiło.

Baron Hubert, zostawszy posiadaczem majoratu, nie pokazał się w K. i wrócił do Kurlandii. V. otrzymał nieograniczone pełnomocnictwo co do zarządu majoratem. Budowa nowego zamku została zaniechana, za to stary, o ile można, do dobrego stanu był przywrócony.

Wiele lat już upłynęło, gdy po raz pierwszy Hubert w późnej jesieni przybył do K., zabawił przez kilka dni, zamknąwszy się z V. w jego pokoju, a potem odjechał do Kurlandii na powrót. Przejeżdżając przez K., w tamecznym urzędzie złożył swój testament.

W czasie pobytu swego w K. baron, którego charakter zupełnie się odmienił, częste miał przeczucia bliskiej swej śmierci. Jakoż spełniły się one, gdyż w rok później umarł. Jego syn, imieniem także Hubert, natychmiast z Kurlandii przyjechał dla objęcia jednego z najbogatszych majoratów. Za nim pośpieszały matka i siostra. Młodzieniec ten łączył w sobie wszystkie wady przodków: był dumny, wyniosły, gwałtowny i chciwy na bogactwa. Zaledwie przybył do zamku, chciał zaraz wszystko poodmieniać, co mu się nie podobało. Kucharza wypędził, stangreta miał ochotę kijem obić, ale mu się to nie udało, bo tegi wyrostek był zuchwały i oparł się temu. Jednym słowem w najlepsze zaczął już odgrywać rolę surowego pana majoratu, gdy V. stanowczo mu się sprzeciwił, oświadczając wyraźnie, że najmniejszy kociak z domu nie będzie wypędzony, ani jedno krzesło nie może być poruszone przed otworzeniem testamentu.

— Jak pan śmiesz tak mówić do dziedzica majoratu?... — zaczął baron, ale V. nie pozwolił rozwoździć się wściekłości ze złości młodzieńcowi. Zmierzywszy go surowym spojrzeniem, rzekł:

— Tylko bez zbytniego pośpiechu, panie baronie! Racz pan nie rozpościerać się ze swymi rządami przed otworzeniem testamentu, tymczasem zaś ja tu jestem panem, ja sam jeden — i wszelką napaść potrafię napaścią odeprzeć. Proszę nie zapominać, że jako wykonawca testamentu ś. p. pańskiego ojca, na mocy danego mi upoważnienia i na mocy uchwały sądowej, mam prawo wzbronić panu pobytu w K. i dlatego radzę mu, jeśli chcesz się na nieprzyjemność narazić, abys cichuteńko wracał do K.

Powaga przestrzegacza prawa i ton stanowczy, z jakim mówił, nadały słowom jego pewne znaczenie, dlatego młody baron, który zrazu chciał się tak ostro postawić, poczuł, iż broń wypada mu z ręki. Cofnął się więc, pokrywając swój wstyd szyderskim śmiechem.

Upłynęły trzy miesiące i nadszedł dzień, w którym według woli nieboszczyka testament miał być otworzony w K., gdzie go sam złożył. Oprócz osób sądowych, barona i justycjariusza V., znajdował się jeszcze w sali jakiś młodzieniec szlachetnej postawy, którego V. ze sobą przyprowadził, a że widać przy nim było jakieś papiery, uważano go więc za pisarza justycjariusza. Baron, jak to zwykle czynił, spojrzął z góry na młodego człowieka i natarczywie się domagał, aby pośpiesznie odbyto wszelkie nudne i niepotrzebne ceremonie, a przystąpiono do rzeczy bez wielkiej gadaniny i bazgrania. Nie pojmował on, jak można było powoływać się na testament w rzeczach majoratu i miał przekonanie, iż jeśliby się tu domagano od niego czegokolwiek, to jedynie od jego woli zależało zastosować się do tego lub nie.

Pismo i pieczęć ojca uznał baron, rzuciwszy na nie przelotne spojrzenie, potem zaś, gdy pisarz sądowy zabierał się do odczytania testamentu, patrzył obojętnie w okno, a oparłszy niedbale prawą rękę o krzesło, lewą położył na stole pokrytym zielonym sukniem i bębnił po nim palcami.

Po krótkim wstępie oświadczył zmarły baron von K., że nigdy się nie uważał za rzeczywistego posiadacza majoratu, lecz rządził nim w imieniu jedyne go syna zmarłego brata swego, Wolfganga von K. Syn ten nazywa się tak samo jak jego dziadek Roderyk, i jemu, według sukcesji familijnej, majorat po śmierci ojca przypadł. Najściślejsze rachunki z dochodów i wydatków majoratu znajdują się pomiędzy jego papierami. Wolfgang von K. (tak opowiadał Hubert w swoim testamencie) w czasie swej podróży poznał w Genewie pannę Julię de St. Bal i powziął ku niej tak silne uczucie, iż postanowił nigdy się z nią nie rozłączać. Była ona bardzo uboga i jej rodzina, pomimo szlacheckiego swego pochodzenia, nie liczyła się do najświetniejszych. Z tego powodu nie mógł Wolfgang spodziewać się przyzwolenia na małżeństwo ze strony swego ojca Roderyka, którego jedynym dążeniem było, aby majorat wszelkimi możliwymi środkami wynieść jak najwyżej. Odważył

Testament

się przecież napisać z Paryża do ojca o tej swej skłonności, i co przewidywał, to nastąpiło, gdyż ojciec stanowczo oświadczył, że już sam upatrzył narzeczoną dla przyszłego pana majoratu, a zatem o żadnej innej mowy być nie może. Wolfgang zamiast udać się do Anglii, jak to uczynić był powinien, powrócił do Genewy pod przybranym nazwiskiem Borna i ożenił się z Julią, która po upływie roku powiła syna. Ten po śmierci swego ojca stał się panem majoratu. Dlaczego Hubert, świadomy całej rzeczy, tak długo milczał — przytoczone były różne powody, jako wynikające z poprzedniej umowy z Wolfgangiem, ale te wydawały się niedorzeczne i jakby dowolnie wymyślone.

Jak piorunem rażony patrzył baron na sądowego pisarza, który jednostajnym, ochłypłym głosem zwiastował mu owe nieszczęście. Gdy skończył, powstał justycjariusz, wziął za rękę młodzieńca, którego z sobą przyprowadził i rzekł, skłoniwszy się przed sądem: — Mam zaszczyt przedstawić panom barona Roderyka von K., posiadacza majoratu K.

Baron Hubert spojrział na młodzieńca, który mu spadł jak z obłoków, porywał bogaty majorat i połowę majątności w Kurlandii, ledwie powstrzymał się ze złości, a pogroziwszy ściśniętą pięścią, nie rzekł ani słowa i wybiegł z sali sądowej.

Wezwany przez sąd baron Roderyk złożył dowody, iż w istocie jest tą osobą, za którą się podaje. Okazał wierzitelny wyciąg z ksiąg kościoła, w którym jego ojciec brał ślub. Zaświadczone tam było, iż w tym a tym dniu kupiec Wolfgang Born, rodem z K. z panną Julią de St. Bal, w przytomności znanych osób, połączony został kapłańskim błogosławieństwem. Okazał również swoją metrykę (był ochrzczony w Genewie jako dziecko spłodzone w prawym związku kupca Borna i małżonki jego Julii St. Bal). Nadto przedstawił różne listy swojego ojca, pisane niegdyś do zmarłej także od dawna matki. Listy te przecież podpisywane były jedną literą W.

V. ze smutnym wyrazem twarzy przejrzał wszystkie te papiery i rzekł dość zakłopotany: — Teraz, Panie Boże, dopomóż.

Zaraz nazajutrz baron Hubert von K. podał przez adwokata, którego wybrał sobie na obrońcę, przedstawienie do urzędu w K., domagając się natychmiastowego wydania sobie majoratu, jako prawnie nań przypadającego. Rozumie się samo przez się, pisał adwokat, że ani przez testament, ani żadnym innym sposobem zmarły baron Hubert von K. nie miał prawa rozporządzać majoratem. Ów testament niczym innym nie jest, jak spisany w formie prawnej zeznaniem, według którego baron Wolfgang powinien był przekazać majorat żyjącemu swemu synowi, co wszakże za żaden dowód nie służy, tak samo jak zeznanie innego jakiego bądź świadka, a tym samym czyni niemożliwym wylegitymowanie się mniemanego barona K. Należy raczej całą sprawę pretendenta i jego mniemane prawo do dziedzictwa, któremu się niniejszym stanowczo zaprzecza, wyprowadzić na drogę procesu, a majorat wydać baronowi Hubertowi, jako nań przypadający według sukcesji familijnej. Po śmierci ojca posiadanie przechodzi bezpośrednio na syna i do objęcia dziedzictwa nie potrzeba żadnych wyjaśnień, ponieważ następstwo w majoracie nie może być zaprzeczonym, a zatem nie należy obecnego właściciela majoratu niepokoić w posiadaniu jakimiś nieuzasadnionymi pretensjami. Jakże miał powody nieboszczyk, naznaczając innego dziedzica majoratu, jest rzeczą zupełnie obojętną. Zwraca się tylko na to uwagę, że on sam, jak się to pokazuje z pozostałych po nim papierów, miał romans w Szwajcarii, a zatem być może, iż ów mniemany syn braterski jest jego własnym synem, spłodzonym w nieprawym związku, któremu w przystępie żalu za grzechy bogaty majorat chciał przekazać.

Jakkolwiek prawdopodobieństwo przemawiało za okolicznościami w testamencie wyrażonymi, jakkolwiek wielkie uczynił wrażenie na sędziach ostatni ustęp protestacji, w którym syn nie wzdyga się rodzzonego ojca oskarżać o zbrodnię, to przecież stan sprawy nie odmienił się i tylko na usilne starania justycjariusza oraz stanowcze jego zapewnienie, że w jak najkrótszym czasie złożony będzie dowód, stwierdzający prawa kodeksu, sąd uchwalił wstrzymać wydanie majoratu, przedłużając jego administrację aż do ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy.

V. wiedział dobrze, jak będzie mu trudno dotrzymać przyrzeczenia. Przetrzęsł on wszystkie pozostałe po starym Roderyku papiery, nie znalazłszy najmniejszego śladu, ani listu, ani wzmianki nawet, która miałaby jaki związek z owym stosunkiem Wolfganga do panny St. Bal. Zamyślony i zakłopotany siedział właśnie w gabinecie sypialnym starego



Roderyka, który jak najtroskliwiej przeszukał i pracował nad wykazem dla notariusza w Genewie, którego mu polecono jako biegłego i pilnego człowieka, a który zobowiązał się dostarczyć pewnych wiadomości, mających wyjaśnić sprawę młodego barona.

Była północ. Księżyc w pełni jasne rzucał światło do przyległej sali, od której drzwi były otwarte. Naraz dało się słyszeć, jakby ktoś szedł zwolna i z wielką trudnością po schodach, dzwoniąc kluczami. V. natężył uwagę, powstał i udał się do sali. Wtedy wyraźnie usłyszał, że ktoś przez korytarz się zbliża. Jakoż drzwi się otworzyły i wszedł po cichu człowiek jak trup blady, w jednej ręce trzymał lichtarz z zapaloną świecą, a w drugiej pęk kluczy. V. na pierwszy rzut oka poznał marszałka. Już miał go zapytać, czego tu chce, gdy zmieniona, nieruchoma postać starego, dreszczem go przejęła. Postrzegł, że ma przed sobą lunatyka... Stary mierzonym krokiem szedł w poprzek sali, kierując się do zamurowanych drzwi, które niegdyś prowadziły do wieży. Tuż przed nimi zatrzymał się i z głębi piersi wydał głos straszliwy, który z tak bolesnym jękiem rozległ się po sali, iż V. zadrżał z przerażenia. Tymczasem, postawiwszy lichtarz na ziemi, a klucze zawiesiwszy u pasa, zaczął Daniel obiema rękami drapać się po murze z taką zajadłością, że aż krew z paznokci tryskała, przy tym wzdychał i jęczał, jakby go dręczyły śmiertelne bóle. Potem przyłożył ucho do muru, chcąc czegoś podsłuchać, wreszcie skinął ręką, dając niby komuś znak milczenia. Następnie schylił się, podjął lichtarz z podłogi i cichutko, jednostajnym krokiem wyniósł się za drzwi. V. udał się za nim, idąc ostrożnie ze świecą. Stary zszedł ze schodów, zamknął główne drzwi zamkowe i poszedł do stajni. Postawiwszy świecę tak, iż całe wnętrze budynku było dostatecznie oświetlone, bez żadnego niebezpieczeństwa, przyniósł siodło z przyborami i na wielkie zdziwienie V. osiodłał konia, odwiązał go od żłobu, starannie ściągnął popręgiem<sup>72</sup> i przypiął strzemiona. Następnie wygładził koniowi na łbie włosy, poklepał go jedną ręką po karku, a drugą ująwszy za cugle, wyprowadził ze stajni. Na podwórzu stał przez kilka minut w miejscu, potem, jakby otrzymał jakiś rozkaz, kiwnął głową, przyrzekając go spełnić. Odprowadził konia do stajni, rozsiadł go i przywiązał do żłobu. Następnie wziął lichtarz, zamknął stajnię i pobiegł do swego pokoju, w którym się zarygłował.

Cała ta scena silnie wstrząsnęła duszą justycjariusza, budząc w nim przeczucie strasznego czynu i przyczepiła się do niego niby czarne widmo piekielne... Zajęty przecież zagrożonym bytem swego młodego klienta, pomyślał zaraz, czy i z tego, co widział, nie będzie można jakiej korzyści osiągnąć?

Nazajutrz, kiedy już zmierzchać się zaczęło, wszedł Daniel z jakimś domowym interesem do pokoju justycjariusza. V. ująwszy go za rękę, posadził w fotelu i tak mówić zaczął:

— Posłuchaj no, stary przyjacielu, dawno już chciałem cię zapytać, co sądzisz o tej zaplątanej sprawie, którą nam na kark rzucił dziwaczny testament Huberta? Czy myślisz, że ów młodzieniec jest rzeczywiście synem Wolfganga, spłodzonym z prawego związku?

Stary, kołysząc się w krześle i widocznie unikając wzroku V., rzekł mruczając pod nosem:

— Ba... może to i być, a może i nie. Cóż mnie to obchodzi, niech tu będzie panem, kto chce.

— Ale ja sądzę — mówił V. dalej, zbliżając się do starego i kładąc mu rękę na ramieniu — ponieważ posiadałeś całe zaufanie starego barona, więc nie ukrywał przed tobą stosunków, jakie zachodziły między jego synami. Wspomniał ci zapewne o małżeństwie, jakie Wolfgang zawarł wbrew jego woli?

— Nic nie mogę sobie przypomnieć — odrzekł stary, ziewając głośno w niezwykle sposób.

— Jesteś śpiący, stary — rzekł do niego V. — może miałeś dziś noc niespokojną.

— Nie zdaje mi się — mruknął niechętnie, dodając zaraz — ale muszę już odejść, żeby wczeznę zarządzić.

Mówiąc to, wyciągnął wygięte swe plecy i powtórnie ziewnął jeszcze głośnie.

— Zostań no, stary, jeszcze — zawołał V., biorąc go za rękę i chcąc go zmusić do siedzenia, ale ten stanął przy stole i oparł się o niego, a skłoniwszy się całym ciałem ku V., mruknął z pewną niechęcią.

<sup>72</sup>popręg — pas przytrzymujący siodło, przeciągany pod brzuchem konia. [przypis edytorski]

— No i cóż tam znów? Co mnie obchodzi majorat?

— Toteż — przerwał mu V. — nie będziemy już o tym mówili, kochany Danielu, ale o czym innym. Jesteś pochmurny, ziewasz. Wszystko to pokazuje jakieś osobliwe znużenie, tak iż jestem gotów mniemać, żeś to ty był zeszłej nocy...

— Że ja byłem zeszłej nocy? — zapytał stary, nie ruszając się z miejsca.

— Wczoraj o północy — mówił dalej V. — gdy siedziałem w gabinecie starego pana, obok wielkiej sali, ukazałeś się w jej drzwiach, sztywny, blady, zmieniony... Przystąpiłeś do zamurowanych drzwi i drapałeś po nich obiema rękami, jęcząc przy tym straszliwie, jakbyś piekielne cierpiał męki. Czyś ty lunatyk, Danielu?

Stary padł w krzesło, które mu szybko V. podsunął. Nie wydał najmniejszego głosu, a zmrok nie dozwalał widzieć jego twarzy. V. zauważył tylko, iż ciężko oddycha, zgrzytając zębami.

— Tak — mówił V. dalej po krótkim milczeniu — tak zwykle się dzieje z lunatykami. Nazajutrz nic nie wiedzą, co się z nimi działo, nie pamiętają o tym, co czynili jakby na jawie.

Daniel wciąż milczał.

— Podobnych rzeczy jużem się dawniej napatrzył — mówił znów V. — Miałem przyjaciela, który tak samo jak ty odbywał nocne przechadzki, gdy księżyc był w pełni. Szczególniejsza zaś, iż udało mi się z nim rozmawiać, gdy po cichu do ucha zacząłem mu szeptać. Niekiedy nawet siadał przy stole i pisał list. Odpowiadał mi należycie na pytania, jakie mu czynilem. Niekiedy wymykało mu się z ust to, czego najtroskliwiej unikał, będąc w stanie przytomnym. Widocznie nie mógł oprzeć się sile, która nań działała. Do kata! Ja sądzę, że lunatyk, choćby nie wiem jak długo ukrywał popełnioną jaką niegodziwość, to zawsze w końcu się wyda, gdy się go w tym stanie pociągnie za język. Nic to nie obchodzi takich, co mają czyste sumienie, jak my obydwaj, nieprawdaż, mój Danielu? My bezpiecznie możemy być lunatykami. Nikt się od nas o żadnej zbrodni nie dowie. Ale powiedz mi, Danielu, ty zapewne chcesz się dostać do wieży astronomicznej, gdy tak przeraźliwie drapiasz się po drzwiach zamurowanych? Chcesz zapewne popracować ze starym panem? Wypytam cię o przyszłej nocy.

Gdy to V. mówił, stary drżał coraz mocniej, wreszcie porwały go straszliwe konwulsje, wśród których wydawał niezrozumiałe jęki. V. wezwał służących. Wniesiono światła. Stary drżeć nie przestał. Zaniesiono go do łóżka. Blisko godzinę przebywał w tym stanie, potem wpadł w senną omdlałość. Gdy się obudził, zapragnął napić się wina, a gdy mu je podano, oddalił służącego, który chciał przy nim czuwać i zamknął się jak zwykle w swoim pokoju.

V. w samej rzeczy postanowił zrobić doświadczenie, jak o tym mówił Danielowi, chociaż nie taił przed sobą, że Daniel może po raz pierwszy, dowiedziawszy się o swym chorobliwym stanie, wszelkich użyje sposobów, aby mu się oprzeć. Ale w takim razie, gdyby się rzecz udała, cóż mogą znaczyć zeznania w somnambulizmie poczynione? Mimo to, udał się około północy do sali, spodziewając się, że Daniel, jak to zwykle bywa w takiej chorobie, wbrew własnej woli będzie musiał postąpić. Tymczasem o północy powstała wielka wrzawa na podwórzu. V. wyraźnie usłyszał wypadające okno. Pośpieszył na dół i gdy szedł przez korytarz, otoczył go dym, który, jak zaraz spostrzegł, wychodził z pokoju marszałka. Wynoszono właśnie Daniela na pół martwego, aby go w drugim pokoju w łóżko położyć. Było około północy, tak powiadali służący, gdy jakiś głuchy łoskot w pokoju marszałka zbudził parobka, który sądząc, iż staremu się coś przytrafiło, wstawał właśnie, aby iść na ratunek, gdy naraz usłyszał stróża nocnego wołającego na podwórzu: — „Ogień! ogień! W stacji pana marszałka pali się jasnym płomieniem!” Na te krzyki zerwali się wszyscy służący, ale wszelkie ich usiłowania, aby drzwi od pokoju otworzyć, były daremne. Wybiegli na podwórze, ale przytomnego umysłu stróż wskoczył już do pokoju przez okno, niezbyt wysoko wznoszące się od ziemi i ściągnął palące się fran-ki, a parę konewek wylanej wody cały pożar ugasiło. Marszałka znaleziono leżącego na środku pokoju w głębokim omdleniu. Trzymał jeszcze w ręku lichtarz, z którego świeca zapaliła franki i pożar spowodowała. Spadające płócienne strzępy poopalały staremu brwi i znaczną część włosów na głowie. Gdyby był stróż nocny nie postrzegł ognia, to stary byłby się bez ratunku spalił. Niemało się służba zdziwiła, znalazłszy drzwi zamknięte z wewnątrz przez dwa nowo wkręcone rygle, których wczorajszego wieczoru jeszcze

Prawda

nie było. Przekonało to justycjariusza, że stary chciał sobie uniemożliwić wyjście, ale nie mógł się oprzeć bezwiednemu popędowi.

Stary na dobre się rozchorował, nie mówił, jadł bardzo mało i jakby skrępowany jakąś straszną myślą, nieruchomo rzucał przed siebie spojrzenia, w których się śmierć malowała. V. sądził, iż stary nie wstanie już z łóżka. Wszystko, co tylko dało się uczynić w interesie młodego klienta, to już V. uczynił. Teraz nie pozostało mu nic innego, jak czekać cierpliwie, jakie skutki osiągną jego starania, postanowił więc wracać do K. Odjazd na dzień następny był naznaczony. Wieczorem V. układał swoje papiery, gotując się do podróży. Wtem wpadł mu pod rękę małe pakić, który niegdyś baron mu oddał. Pakiće ten własną ręką opieczętował, położywszy na nim napis: „Do przeczytania po otworzeniu mego testamentu”. V. dotąd w niepojęty sposób tego pakietu nie mógł odszukać. Zamierzał właśnie go odpieczętować, gdy drzwi się otworzyły i po cichu, niby duch jaki, wszedł Daniel. Położył czarną tekę, którą niósł pod pachą, a potem ze strasznym jękiem padł na kolana, konwulsyjnie uchwycił justycjariusza za rękę i rzekł grobowym głosem:

— Nie chciałbym umierać na szafocie... Ten tam wysoko osądzi! — Podniósłszy się wśród bolesnych jęków i westchnień, wyszedł z pokoju tak samo, jak przyszedł.

V. całą noc spędził na czytaniu tego, co czarna teka i pakiće Huberta zawierały. Jedna i drugi w ścisłym ze sobą związku zostawały i wskazywały dalszą drogę postępowania w sprawie majoratu.

Skoro tylko V. przybył do K., udał się natychmiast do barona Huberta, który go przyjął bardzo wyniosłe. Ważnym następstwem ich rozmowy, która bez przerwy od południa do późnej trwała nocy, było to, że zaraz nazajutrz baron oświadczył przed sądem, iż pretendenta do majoratu, zgodnie z testamentem swojego ojca, uznaje za starszego syna barona Wolfganga, spłodzonego z jego prawego małżeństwa z Julią de St. Bał, a tym samym uznaje go za legalnego dziedzica majoratu.

Wyszedszy z sądu, Hubert wsiadł do oczekującego nań przy bramie powozu zaprzężonego czterema końmi i odjechał, zostawiwszy matkę i siostrę.

Zdziwienie Roderyka z tej zmiany stanu rzeczy było niemałe. Nalegał na V., aby go przecież objaśnił, jakim sposobem stał się ten cud, jaka tajemnicza potęga tu się wdała. V. przyrzekł mu wszystko wyjaśnić w czasie późniejszym, gdy majorat obejmie w posiadanie. Wydanie majoratu nie mogło jednak rychło nastąpić z tej przyczyny, iż sąd, nie poprzestając na oświadczeniu Huberta, domagał się jeszcze zupełniejszej legitymacji Roderyka.

V. ofiarował baronowi mieszkanie w zamku K., dodając, że matka i siostra Huberta przez nagły tego odjazd znajdują się w chwilowym kłopotcie i wolałyby raczej cichy pobyt w zamku przodków, niż przebywanie w drogim i wrzaskliwym mieście. Zapał, z jakim Roderyk chwycił się myśli, że z baronową przynajmniej przez czas jakiś razem pod jednym dachem mieszkać będzie, wskazuje jasno, jak silne na nim uczyniła wrażenie Serafina, dziewczę miłe i piękne. I w samej rzeczy, młody baron tak umiał ze swojego pobytu w K. korzystać, że kilka tygodni zaledwie upłynęło, a pozyskał miłość Serafiny i zezwolenie matki na ich związek. Dla V. było to trochę za prędko, ponieważ prawa Roderyka do majoratu były zawsze jeszcze wątpliwe.

Listy z Kurlandii przerwały to sielankowe życie. Hubert wcale się w swych dobrach nie pokazał, lecz prosto pojechał do Petersburga, zaciągnął się do wojska i udał się na wojnę przeciwko Persom, z którymi wówczas Rosja prowadziła wojnę. To skłoniło baronową, iż wraz z córką odjechała do majątku kurlandzkiego, w którym panował nieporządek i zamieszanie. Roderyk, który się już uważał za przybranego syna, nie omieszkiał towarzyszyć ukochanej, tak więc, gdy i V. do K. wyjechał, zamek znów był pusty jak wprzódy. Choroba starszego marszałka z każdym dniem się zwiększała, tak iż on sam nabył przekonania, że z niej nie powstanie. Urząd jego oddano owemu Franciszkowi, który tak wiernym był sługą nieboszczyka Wolfganga.

W końcu po długich wyczekiwaniach nadeszły wiadomości ze Szwajcarii. Proboszcz, który dawał ślub Wolfgangowi, dawno już nie żył, ale w księgach parafialnych znaleziono zanotowane własną jego ręką, iż ten, którego pod imieniem Borna połączył związkiem małżeńskim z panną Julią de St. Bał, dowodnie wylegitymował się przed nim jako baron Wolfgang von R., najstarszy syn barona Roderyka von K. Nadto odszukano dwóch świad-

ków, którzy byli przytomni<sup>73</sup> na ślubie. Jednym z nich był kupiec geneński, a drugim stary kapitan francuski, który się przeniósł do Lyonu. Tym Wolfgang także się odkrył, ci więc pod przysięgą uczynili zeznania, a przez to poparli adnotację proboszcza w księdze parafialnej. Mając w rękę wszystkie te dowody, V. był w możności okazać niezaprzeczone prawa do majoratu młodego swego protegowanego. Nic zatem nie stało na przeszkodzie wydaniu majoratu, co też zaraz w jesieni nastąpić miało.

Tymczasem Hubert poległ w pierwszej bitwie, w jakiej się znajdował. Spotkał go ten sam los, co jego młodszego brata, który na rok przed śmiercią ojca również w boju zabity został. Tym sposobem dobra w Kurlandii spadły na Serafinę von K., stanowiąc piękny posag, który się miał dostać szczęśliwemu Roderykowi.

Już listopad się zaczął, gdy baronowa, Roderyk i jego narzeczona do K. przybyli. Po urzędowym wydaniu majoratu nastąpił ślub Roderyka z Serafiną. Kilka tygodni upłynęło wśród upojen radosnych — wreszcie ufetowani goście zaczęli się z wolna rozjeżdżać ku wielkiej radości justycjariusza, który nie chciał wprzód zamku K. opuścić, dopóki nie zapozna dokładnie młodego dziedzica majoratu ze wszystkimi stosunkami odnoszącymi się do jego posiadłości.

Z wielką ścisłością prowadził rachunki stryj Roderyka, zapisując sumiennie przychód i wydatki majoratu. Ponieważ Roderyk dostał niewielką sumkę na swoje utrzymanie, wszystkie więc nadwyżki z dochodu znacznie zwiększyły kapitał, jaki zostawił był stary baron.

W pierwszych tylko trzech latach Hubert obrócił na swoją korzyść dochody z majoratu, na co wszakże wystawił rewers, ubezpieczając należność w dziale na swoim majątku w Kurlandii.

V. od czasu, gdy poznał, że Daniel jest lunatykiem, wybrał sobie na mieszkanie sypialny pokój starego Roderyka, aby tym pewniej mógł wysledzić to, co mu później stary marszałek odkrył dobrowolnie. Ten więc pokój wraz z przyległą mu salą wyznaczony został na miejsce, w którym justycjariusz z baronem odbywali narady i załatwiali interesy. Zasiadli właśnie obydwaj przy wielkim stole w pobliżu komina, buchającego jasnym płomieniem. V. z piórem w rękę notował i obliczał bogactwa majoratu, a baron, wsparty się na stole, przyglądał się ważnym dokumentom, znajdującym się w otwartych księgach rachunkowych. Żaden z nich nie słyszał głuchego szumu morza, żalosnych krzyków mew burzę zwiastujących, które w przelocie swoim skrzydłami w okno uderzały. Żaden z nich nie zważał na burzę, która zerwawszy się około północy, z dzikim poświstem po zamku szalała. Jakies dziwne odgłosy budziły się w kominach i ważkich przejściach, wyjąc straszliwie. Gdy po silnym napadzie burzy, od którego wtrząsnął się zamek, nagle wypełniło salę posępne księżycowe światło, V. zawołał:

— Cóż to za straszna niepogoda! — Baron, cały zatopiony w bogactwach, które nań spadły, odrzekł obojętnie, przewracając z uśmiechem kartę księgi dochodów:

— W samej rzeczy niepogoda.

Ale jakże się zerwał, wtrząśnięty lodowatą ręką przerażenia, gdy drzwi od sali się rozwarły i ukazała się jakaś blada, straszliwa postać, która weszła jak widmo śmierci. Był to Daniel, o którym V. sądził tak samo, jak każdy, iż złożony ciężką chorobą, nie jest zdolny się ruszyć. On tymczasem, wpadłszy znów w lunatyzm, rozpoczął swoje nocne przechadzki. Niemym, osłupiałym wzrokiem patrzył baron na starego, kiedy ten wśród bolesnych jęków drapał się teraz po ścianie. Głęboki przestach go ogarnął. Błady jak śmierć, z najczernymi włosami, przystąpił do starego w groźnej postawie i zagrzmiął potężnym głosem, że aż sala zadrżała:

— Danielu! Danielu! Co tu porabiasz o tej godzinie?!

Stary niby zawył straszliwie, wydając głos podobny do jęku śmiertelnie ranionego zwierza, tak samo jak wówczas, kiedy mu Wolfgang ofiarował złoto za jego wierność. Jęknął i padł na ziemię. V. przywołał służących, podniesiono starego, ale wszelkie starania były daremne, żeby go do życia przywrócić. Baron krzyczał w rozpacz.

— Boże mój! Boże! Czyliż nie słyszałem, że lunatyk umiera nagle, gdy go się po imieniu zawoła? Nieszczęsny! Zabiłem biednego starca! Przez całe życie spokoju nie znajdę!

<sup>73</sup>przytomny (daw.) — obecny. [przypis edytorski]

Kiedy służący trupa wynieśli i nikt w sali nie został, V. wziął za rękę wciąż rozpaczającego barona, milcząc zaprowadził go przed zamurowane drzwi i rzekł:

— Ten, który u nóg twoich, baronie Roderyku, padł nieżywy, był podłym mordercą twego ojca!

Jakby widmo ujrzał piekielne, baron osłupiałym wzrokiem patrzył na V. Ten zaś mówił dalej:

— Czas już, aby ci odkryć straszną tajemnicę, która ciążyła na tym bezbożniku. Przedwieczna siła dozwoliła synowi pomścić się na mordercy ojca. Słowa, którymi zagrzmiałeś w uszy temu straszliwemu lunatykowi, były ostatnimi, jakie wyrzekł twój nieszczęśliwy ojciec.

Drżący, niezdolny słowa wyrzec baron, zajął miejsce przy V. który usiadł przed kominem. V. opowiedział treść pisma, które Hubert mu zostawił, a które wolno było mu odpieczętować dopiero po otworzeniu testamentu. Hubert pełen najgłębszej skruchy, oskarżał się o niepojednaną zawiść, jaka zrodziła się w nim przeciwko bratu od chwili, gdy stary Roderyk ustanowił majorat. Wszelką broń wyrwano mu z ręki, bo gdyby udało mu się nawet poróżnić w niegodziwy sposób ojca z synem, to jednak pozostałoby to bez żadnego skutku, bo sam Roderyk nie był w stanie odjąć najstarszemu synowi praw pierworodztwa i choćby odwrócił od niego swoje serce i oczy, to i tak nigdy by tego według swych zasad nie uczynił. Dopiero kiedy Wolfgang wszedł w miłosne stosunki z Julią de St. Bał, sądził Hubert, że może bratu szkodzić. Od tego czasu w porozumieniu z Danielem usiłował w niegodziwy sposób skłonić starego do postanowień, które miały syna przywieść do rozpaczy.

Wiedział on, że według wyobrażeń Roderyka jedynie związek ze starożytną w kraju rodziną mógł zapewnić majoratowi świetność na zawsze. Stary w gwiazdach ten związek wyczytał, każdy więc lekkomyślny postępek na szwank całą instytucję mógł narazić. Tym sposobem stosunek Wolfganga z Julią wydawał się staremu jako zbrodniczy zamach przeciwko tajemniczej mocy, która go wspierała w ziemskich zamiarach, gotował się więc go zniszczyć, uważając w Julii demoniczny pierwiastek, który mu stanął na przeszkodzie. Hubert wiedział o szalonej miłości Wolfganga dla Julii, której strata przyprowadziłaby go o rozpacz albo o śmierć nawet, a tym chętniej popierał plany ojcowskie, że sam, uczuwszy karygodną skłonność ku Julii, spodziewał się zyskać jej wzajemność. Trzeba było szczególniejszego zrzędzenia nieba, iż te piekielne zamysły rozbiły się o stanowczość Wolfganga, a nawet udało mu się oszukać brata. Hubert rzeczywiście nie wiedział o tajemnie zawartym małżeństwie ani o narodzeniu syna. Czując się bliskim śmierci, stary Roderyk wpadł na myśl, że Wolfgang musiał poślubić tę nienawistną mu Julię. W liście, który poleca synowi, aby w oznaczonym dniu przybył do K. dla objęcia majoratu, przeklina go, jeśli nie zerwie owych związków. Ten list Wolfgang spalił przy zwłokach ojcowskich.

List, Przekleństwo

Do Huberta pisał stary, że Wolfgang poślubił Julię, ale on zerwie ten związek. Hubert uważał to za wymysł ojcowskiej fantazji, ale jakże się przestraszył, gdy mu sam Wolfgang w K. nie tylko domysł ojca potwierdził z całą otwartością, ale dodał jeszcze, że Julia powiła mu syna, że przed niedawnym dopiero czasem zawiadomił ją o swoim stanie i o bogatej swej posiadłości, z czego niemało się zapewne ucieszy, gdyż dotąd miała go za kupca Borna z M. Chciał zaraz do Genewy pośpieszyć, aby sprowadzić ukochaną małżonkę. Nim przecież ten zamiysł doprowadził do skutku, śmierć go spotkała. Hubert starannie zamilczał, co wiedział o bytności syna, zrodzonego w małżeństwie z Julią i przywłaszczył sobie majorat, który do tegoż należał. Zaledwie jednak parę lat upłynęło, uczuł żal głęboki. Los w straszliwy sposób przypomniał mu jego winę, budząc coraz większą nienawiść między jego synami.

Gniew

— Ty jesteś biedny chudeusz — mówił starszy, dwunastoletni chłopiec, do młodszego — ale ja, gdy ojciec umrze, zostanę panem majoratu i musisz być bardzo pokornym i po rękach mnie całować, zanim dostaniesz pieniądze ode mnie na nowy surdut.

Młodszy wpadł we wściekłość na tę szyderczą pychę brata, rzucił w niego nożem, który miał właśnie pod ręką i o mało go nie zabił. Hubert, lękając się większego nieszczęścia, wyprawił młodszego do Petersburga, gdzie ten później jako oficer walczył pod Suworowem przeciw Francuzom i poległ na polu bitwy. Odkryć przed światem, że nieprawnie, przez oszustwo majorat posiada — od tego wstrzymywały go wstyd i hańba, które by go spotkały. Ale postanowił sobie ani jednego grosza nie pozbawiać prawego właściciela.

Zasięgnął wiadomości z Genewy i dowiedział się, że pani Born, zmartwiona niepojętym zniknięciem męża, umarła, ale młody baron żyje i jest na wychowaniu u pewnego poczciwego człowieka, który go przyjął do siebie. Wtedy zgłosił się Hubert pod obcym nazwiskiem, jako krewny kupca Borna, który zginął na morzu i przysyłał pieniądze, które dostateczne były do troskliwego i starannego wychowania przyszłego dziedzica majoratu. Jak zaś troskliwie zbierał nadwyżkę z dochodów majoratu i jaki później uczynił testament, to już wiadomo.

O śmierci swego brata mówił Hubert w dziwnie zagadkowy sposób, z którego wszakże domyślać się można, że tu zaszyły jakieś pełne tajemnicy okoliczności i że Hubert pośrednio przynajmniej miał udział w okropnym czynie. Wyjaśnia to wszystko czarna teka. Do zdradzieckiej korespondencji Huberta z Danielem dołączona była kartka, którą Daniel napisał i podpisał. V. przeczytał jedno zeznanie, przed którym zadrżał w głębi duszy. Na Daniela wezwanie przybył Hubert do K. Daniel mu doniósł o znalezionych stu pięćdziesięciu tysiącach talarów. Wiadomo, jak brat przyjął Huberta, jak zawiedziony we wszystkich oczekiwaniach swoich i nadziejach, chciał zaraz odjechać, jak go V. zatrzymał. W sercu Daniela wrzała zemsta przeciwko młodemu człowiekowi, który chciał go wypędzić jak parszywego psa. On to wciąż podniecał ogień, który trawił zrozpaczonego Huberta. W lesie sosnowym, gdy polowali na wilki, w czasie burzy i zamieci śniegowej, spiknęli się na zgubę Wolfganga.

— Sprzątnąć — szepnął Hubert, oglądając się i przykładając fuzję.

— Tak, sprzątnąć — odmruknął Daniel — ale nie w ten sposób, nie w ten.

I ułożył sobie w duchu, że zamorduje barona, a nikt tego nawet nie postrzeże. Gdy Hubert w końcu otrzymał pieniądze, ciężko mu było na sercu, chciał odjechać, aby się oprzeć nowemu pokuszeniu. Sam Daniel osiodłał mu w nocy konia i wyprowadził go ze stajni, lecz gdy baron chciał go dosiąść, rzekł Daniel przerażającym głosem:

— Ja myślę, baronie Hubercie, że ty zostaniesz w majoracie, który w tej chwili spada na ciebie, bo dumny jego posiadacz leży zdruzgotany w otchłani wieżowej.

Daniel zauważył, że Wolfgang, dręczony pragnieniem złota, często w nocy zrywał się z łoża, stawał przede drzwiami, które niegdyś do wieży prowadziły i rzucał pożądliwe, tęskne spojrzenia w głąbię, która, według zapewnienia Daniela, miała ukrywać znaczne skarby. Toteż kiedy usłyszał, że baron otworzył drzwi wiodące do wieży, wszedł nimi i postępował za baronem, który stanął nad samą przepaścią. Baron odwrócił się, postrzegłszy niegodziwego sługę, któremu z oczu mord błyszczał i zawołał przestraszony:

— Danielu, Danielu, co tu robisz o tej godzinie? — A Daniel wtedy mruknął dzikim głosem:

— Leć na łeb, ty psie parszywy! — I silnym uderzeniem nogi zepchnął nieszczęśliwego w przepaść...

Okropna ta zbrodnia tak silnie oddziaływała na barona, iż chwili spokoju nie mógł znaleźć w zamku, gdzie jego ojciec został zamordowany. Wyjechał do swoich dóbr w Kurlandii i raz tylko w rok, na jesień przyjeżdżał do K.

Franciszek, ów stary Franciszek, utrzymywał, że Daniel, którego zbrodni się domyślał, często później przeszkadzał, mianowicie gdy księżyc był w pełni, a opisywał tę przeszkodę zupełnie tak samo, jak V. ją ujrział i z zamku wypędził.

Odkrycie też okoliczności, które pamięć ojca hańbą okrywały, wypędziło młodego Huberta daleko w świat...

Gdy mi to wszystko dziadek opowiedział, wziął mnie za rękę i ze łzami w oczach rzekł rozrzewnionym głosem:

— Kuzynku, kuzynku, nawet ona... Ta piękna kobieta nie mogła uniknąć wpływu siły nieczystej, która się rozgościła tam, na zamku...

W dwa dni po naszym wyjeździe z K. ułożył baron na zakończenie zabaw przejażdżkę sankami. Sam powoził, jadąc ze swą małżonką. Nagle, przy skręcie z doliny, w niepojęty sposób przestraszone konie zerwały się i jak szalone poniosły, parszcząc nozdrzami.

— Stary... stary jest tuż za nami! — zawołała baronowa rozpaczliwym głosem. W tej samej chwili silnie uderzone sanie wyrzuciły ją daleko... Znalaziono ją martwą... Ona tam spoczywa! Baron został niepokieszony. Jego spokój jest spokojem umierającego. Już nigdy, kuzynku, nie wrócimy do K.

Podstęp, Morderstwo

Chciwość, Morderstwo

Duch

Duch, Śmierć

Umilkł dziadek. Wkrótce potem rozłączyłem się z nim z zakrwawionym sercem, i tylko czas wszystko uspokajający mógł przynieść ulgę głębokiej boleści, której sądziłem, że nie przeżyję.

Minęły lata. V. od dawna w grobie spoczywa. Ja musiałem opuścić ojczyznę. Burza wojenna, która szalała nad całymi Niemcami, zapędziła mnie daleko na północ, do Petersburga. W powrocie stamtąd, w czasie ciemnej nocy letniej, jadąc wzdłuż zatoki morza Bałtyckiego, niedaleko od K., postrzegłem na niebie wielką gwiazdę błyszczącą. Zbliżając się coraz więcej, poznałem po czerwonych płomykach, że to, co uważałem za gwiazdę, jest bardzo silnym ogniem, ale pojąc tego nie mogłem, jakim sposobem mógł się on wzniesić tak wysoko w powietrze.

— Przyjacielu, co to za ogień tam, przed nami? — zapytałem pocztyliona.

— E, to nie ogień — odrzekł tenże — to latarnia morska w K.

Zaledwie pocztylion wymienił tę nazwę, gdy w żywym świetle stanął przed oczyma mej duszy obraz owych fatalnych dni, które tam przeżyłem. I ujrzałem barona, Serafinę, stare dziwaczne ciotki, ujrzałem siebie samego z mlecznobiałą twarzą, pięknie ufryzowanego, upudrowanego, w błękitne suknie wystrojonego, a przy tym zakochanego... Wśród posępnych myśli, które mnie ogarnęły, iskrzyły się światełka wesołych żarcików dziadka, które teraz dowcipniejszymi się jeszcze wydawały niż dawniej. Smutkiem i dziwną wesołością przejęły. Nazajutrz rano stanąłem w K. i wysiadłem z powozu, który się zatrzymał przed pocztą. Poznałem zaraz dom rządcy i zapytałem się o niego.

— Z przeproszeniem... — odrzekł pisarz pocztowy, wyjmując z ust fajkę i poprawiając szlafmicy na głowie. — Tu nie ma żadnego rządcy, tu jest rząd królewski, a pan Amtsrath raczy jeszcze spać.

Pytając dalej, dowiedziałem się, że już od lat szesnastu umarł bezpotomnie baron Roderyk, ostatni dziedzic majoratu, a zatem tenże, stosownie do prawa obowiązującego podobne instytucje, przyłączony został do państwa.

Pobiegłem na zamek i zastałem go w ruinie.

Znaczną część jego cegieł zużytkowano przy budowie wieży z latarnią morską, tak mnie przynajmniej zapewniał wieśniak, który nadszedł z sosnowego lasu i rozpoczął ze mną gawędkę. Opowiadał mi także o duchach, które miały przebywać w zamku i upewniał, że jeszcze dziś, kiedy księżyc jest w pełni, dają się słyszeć wśród zwalisk żalodne jęki i westchnienia.

Biedny, stary, lekkomyślny Roderyku, jakiego żeś złego ducha tu zaklął, który plemię twoje w pierwszych odroślach śmiertelnie zatrął, kiedy się spodziewałeś, że je tu zasadzisz silnymi korzeniami na wieki!

Los, Przekleństwo

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/powiesci-fantastyczne-majorat>

Tekst opracowany na podstawie: E. T. A. Hoffmann, Powieści fantastyczne, T. II, red. Jan Lorentowicz, oprac. Antoni Lange, nakł. i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów, Skł. gł. w Księgarni E. Wendego i S-ki, H. Altenberg, Warszawa [ca 1913]

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Śląską z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BŚ.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Marta Niedziałkowska, Paweł Kozioł, Roksana Trojak.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.